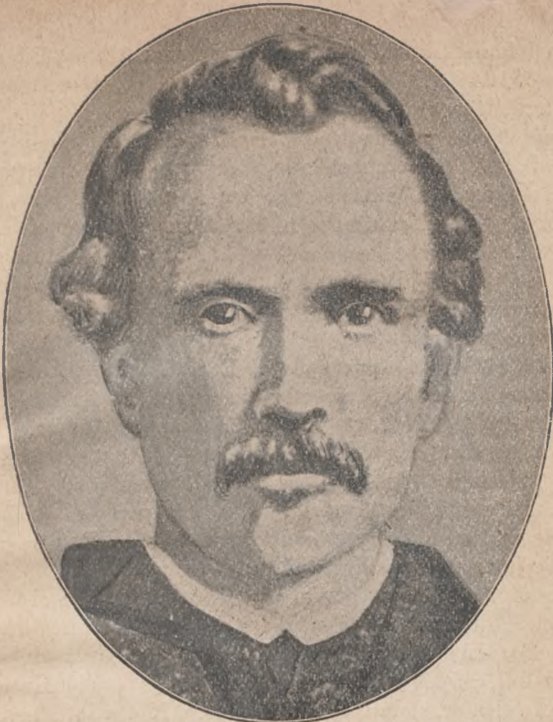


ZYGMUNT SIERAKOWSKI.

Zygmunt Sierakowski urodził się 2-go maja 1828 r. w okolicy Łucka, gdzie rodzice jego, Ignacy i Fortunata z Morawskich, córka po majorze wojsk polskich, trzymali dzierżawę. W czwartym roku życia Zygmunt utracił ojca, który wstąpił do szeregów powstańczych pod dowództwem generała Kołyszki, a później więziony, aż do czasu spisku Konarskiego, gdy mu się udało uciec z więzienia, został pochwycony na granicy i zarąbany. Zygmunt zawdzięczał najazdowi nietylko sieroctwo, ale i nędzę, w którą rodzina jego wpadła; podczas powstania skonfiskowano jej majątek. Ciężkie czasy nastały dla rodziny Sierakowskich. Matka wraz z trojgiem dzieci musiały się tułać po obcych dworach. Na szczęście nie wpłynęło to ujemnie na wychowanie małego Zygmunta. Uczucia patryotyczne były jeszcze tak silne, zgroza barbarzyństwa moskiewskiego tak tkwiła jeszcze w pamięci, że zamożni ludzie ubiegali się o opiekę nad dziećmi poległych powstańców. Tak było z Zygmuntem. Do dziewiątego roku życia przebywał u babki, wdowy po kościuszkowskim i napoleońskim generale, Wiktorze Morawskim, a następnie przyjął go na wychowanie chrzestny ojciec Władysław Podhorodeński, którego kosztem Sierakowski skończył gimnazyum żytomierskie w 1845 r. ze złotym medalem. Zygmunt chciał wstąpić na uniwersytet petersburski. Nie chcąc nadużywać nadal ofiar-

ności swego opiekuna, przyjął guwernerkę w domu Albina Piotrowskiego, gdzie był aż do 1847 r. Za uzyskane w ten sposób pieniądze odbył podróż do Petersburga i wstąpił na uniwersytet.

I tam nie chciał przyjmować pomocy od wielu chętnych dobroczyńców, raz dlatego, że przekonania polityczne tych panów i stanowisko ich wobec rządu moskiewskiego budziły w nim wstręt, a głównie dlatego, że chciał być niezależnym materyalnie, aby módz być niezależnym duchowo. Pracował więc ciężko na swoje utrzymanie, ale jednocześnie uczył się pilnie. Dla swego uczciwego charakteru i postępowych przekonań był bardzo lubiany w uniwersytecie, gdzie kształciło się wówczas mnostwo polaków.

Nadszedł 1848 r. W zachodniej Europie prawie wszędzie posady absolutyzmu wstrząśnięte zostały okrzykami buntu, nawoływaniem do rewolucyi ludowej. Francya przodowała innym ludom, które powstawały jeden po drugim jakby na komendę. Zdawało się, że nareszcie zapanują szlachetne zasady, głoszone podczas rewolucyi francuskiej: „równość, braterstwo, wolność". Po strasznej nocy panowania nad Europą „Świętego Przymierza" despotów, w którem Rosya prym wodziła, zaświtała jutrzenka wolności ludu i — narodów. Porwały się do broni ujarzmione Włochy i Węgry. Nie dziw więc, że i Polska bardzo wiele się po tej rewolucyi spodziewała. Wprawdzie dwie olbrzymie prowincye, Poznańskie i Galicya, nie powróciły jeszcze do sił po rzezi chłopskiej i bezskutecznych ruchach 1846 r. Wprawdzie Królestwo nie przebolało jeszcze ciosów, zadanych mu w 31 r. Kwiat inteligencyi wciąż tułał się i marnował zagranicą, a nad Warszawą zawisł od kilkunastu lat knut i miecz katowski Paszkiewicza. Ale pomimo tego wszystkiego nadzieja rychłego odzyskania niepodległości ojczyzny nurtowała we wszystkich warstwach ludności, a przedewszystkiem wśród młodzieży. Pomimo szczelnego zamknięcia granic, pomimo straszliwej zemsty na schwytanych, młodzież dążyła masami na Węgry, gdzie uformowały się pułki polskie pod dowództwem Dembińskiego. Despota ówczesny petersburski zadrżał na tronie. Nie mógł jeszcze — co później zrobił — przyjść austryakom z pomocą dlatego, że o to go jeszcze nie proszono, a głównie, że obawiał się powstania w Polsce i rozruchów w samej Rosyi. Zaczął więc przedewszystkiem tropić spiskowców, stosując wszystkie, tak często ze skutkiem w Rosyi używane, środki: tortury wszelakiego rodzaju i przekupstwo. „Robota" uwieńczyła się pomyślnym skutkiem; policya wpadła na trop spisku, bardzo rozgałęzionego, bo obejmującego całą Rosyę, w którym rej wodzili polacy, i który miał na celu wywołać powstanie w Polsce i rewolucyę w Rosyi. Zaczęły się straszne kary, godne takiego tyrana, jakim był Mikołaj I. Setki młodzieży, przeważnie uniwersyteckiej i gimnazyalnej, bito kijami i wysyłano do robót ciężkich, część poszła „w sołdaty", co równało się katordze.

Do tych ostatnich należał i Zygmunt Sierakowski. Już podczas bytności swej w Petersburgu Sierakowski brał bardzo czynny udział w agitacyi politycznej, która zaprzątała umysły prawie wszystkich polskich studentów w Petersburgu. W jednym liście do swej matki

z 1847 r. pisze on: „Świat zaczął nowy rok życia. Czy będziemy w tym roku szczęśliwi? — Będziemy! jeżeli szczerze zechcemy pracować na szczęście. Żeby naród, żeby świat był świętym, szczęśliwym — trzeba, żeby każdy z nas był świętym, żeby kochał wszystkich!... Tu między nami, w północnym Babilonie (w Petersburgu), już są tacy, którzy kochają wszystkich, mają święte myśli i święte uczucia: powstali z podłego nierządu, nikczemnej gnuśności i obojętności... Oni jeszcze nie są, ale będą świętymi! bo nie śpią, ale proszą, szukają, kołaczą — będzie więc im dano, — otworzono, znajdą szczęście."

Owi „święci" to rewolucyoniści, którzy przejęli się świętemi ideami rewolucyjnemi i gotowi byli dla nich życie swe poświęcić. O tych to, którzy już gotowi byli wystąpić do walki z tak potężnym wrogiem, on pisał dalej: „Módlcie się bracia za takich, co nie pobłażają swoim słabościom, nie odkładają na jutro poprawy, ale już pracują, babuniu, ojcowie, bracia, matki i siostry! niech nas, daleko od was zostających wasza miłość ogrzewa, wasze błogosławieństwo niech nam towarzyszy! Módlmy się nie słowami, ale życiem". Zapał, widniejący w tych słowach Zygmunta, wywołała po większej części literatura demokratyczna, przemycana w olbrzymiej ilości z zagranicy, która budziła umysły młodzieży do pracy i poświęcenia. 1848 r. dokonał reszty. Spodziewano się, że lada dzień wojsko węgierskie wkroczy do Galicyi, a stamtąd do Królestwa i Litwy. Zaczęto się organizować, a głównie przygotowywać ludność wiejską do zmian, które wkroczenie wojska za sobą pociągnie. W tej agitacyi czynny udział brał Sierakowski. Ognistą swą wymową porywał za sobą w wielu miejscowościach ludność, która ze czcią przez długi czas o nim wspominała.

Aresztowania nie zastały Zygmunta w Petersburgu. Pod pozorem nagłej potrzeby odzyskania spadku w Odesie, wydostał on pozwolenie na wyjazd ze stolicy. Pożegnawszy się z rodziną, zamierzył przejść granicę austryacką i udać się na Węgry. Ale w drodze w skutek denucyacyi został przytrzymany. Znalezione przy nim 100 półimperyałów, rewolwer i mapa dawnych granic Polski zdradziły go i zaprowadziły z powrotem do Petersburga, gdzie czekał go los uwięzionych i skompromitowanych kolegów. Oddano go „w sołdaty". Tak się zakończyła karyera uniwersytecka Sierakowskiego.

Nie złamało go to jednak. Miał już tak jasno wytknięty cel przed sobą, że chyba z życiem mógł go utracić. Zmienił więc tylko kierunek swej działalności, cel pozostał ten sam. Sierakowski, jakby stworzony na gabinetowego uczonego, przedzierzgnął się w żołnierza. Zesłano go do Nowo-Pietrowska, twierdzy dopiero co zbudowanej na wschodniem wybrzeżu morza Kaspijskiego. Był to odludny zakątek tego kraju, otoczony pustynią straszną i nieprzystępną. Jedynym łącznikiem ze światem był statek parowy, przybywający co dwa miesiące. W tem pustkowiu więc Sierakowski był skazany na zupełną samotność. Nie upadał jednak na duchu. Przyszedł wkrótce do przekonania, że jedynem wyjściem dla niego jest zdobycie względów zwierzchności, która tam rządziła wszechwładnie. Władze rosyjskie dotychczas słyną z braku uczuć ludzkich i jakiejkolwiek łączności z tem

wszystkiem, co zowiemy cywilizacyą; cóż dopiero za czasów mikołajewskich i do tego w tak odległej pustyni, gdzie można było spotkać tylko szumowiny społeczeństwa? Sierakowski nie miał jednak innej drogi do wyboru. Zadanie miał ułatwione przez swe niepowszednie zdolności, które w tak odludnym zakątku nabierały jeszcze większej wartości. Ujął sobie serce komendanta twierdzy, zmoskwiczałego polaka, gotowością nauczania jego syna, co go zarazem uwolniło od codziennych musztr i katuszy koszarowych.

Wzorowe zachowanie się Zygmunta i głośno przez niego wyznawany zapał do służby wojskowej zrobiły w końcu swoje: po półtorarocznej męczarni w Nowo-Pietrowsku, przeniesiono go do Uralska, siedliska sztabu batalionu, do którego należała i kompania nowo-piotrowskiej załogi fortecznej. Tutaj rozwijał on swój plan dalej. Udało mu się uśpić czujność władz do tego stopnia, że zaczęli widzieć w nim szczerze nawróconego moskala. W listach do matki, które z reguły były wszystkie czytane przez jego zwierzchność, udawał patryotę moskiewskiego, mówił o swej wierności i miłości do tej „drugiej jego ojczyzny“. Unikał przytem polaków, bratał się z moskalami. Zwierzchnicy go chwalili, stawiając za wzór innym „buntownikom“, którzy jeszcze dalecy byli od nawrócenia się. W ten sposób car sam wychował przyszłego wodza powstania, ukuł broń, która użytą być miała przeciw niemu samemu.

Tymczasem jednak szynel żołnierski wciąż ciążył jeszcze barkach Zygmunta, a do uwolnienia było bardzo daleko. Z pomocą przyszli mu rodacy, ks. Zielonka i Bronisław Zalewski, którzy dostali się do Orenburga i uzyskali względy ówczesnego generał-gubernatora Aleksego Perowskiego. Za ich to wstawieniem się przeniesiono Sierakowskiego do Orenburga, stolicy generał-gubernatorstwa. Nadzieja bliskiego awansu i wyzwolenia z zesłania zaczęła świtać. Dozór nad Sierakowskim osłabł, z czego on nie omieszkał skorzystać dla rozpoczęcia pracy uświadamiania swych kolegów.

Na wieczorach koleżeńskich w Orenburgu roztrząsano najdonioślejsze ówczesne zagadnienia społeczno-polityczne, a zwłaszcza uwolnienie i uwłaszczenie chłopów oraz zniesienie kary cielesnej w wojsku. „Złamać pałkę w wojsku, to złamać całą potęgę caratu“ — mawiał Sierakowski do kolegów. Jeszcze większe znaczenie miało uwłaszczenie chłopów. Nadać chłopom rolę, przez nich uprawianą, na własność, znaczyło zrobić z chłopa — obywatela, pozyskać go dla kraju, a tem samem dla sprawy niepodległości. Ideałom tym Sierakowski i jego koledzy wierni zostali do końca życia.

W roku 1854 wybuchła wojna krymska. Już zaraz na początku nie rokowała ona rządowi moskiewskiemu nic dobrego. To też powstał popłoch, na łeb na szyję organizowano rezerwy, awansowano bez liku. Temu to pomyślnemu zwrotowi zawdzięczał i Sierakowski, że go awansowano na podoficera. Otwierało mu to pole do dalszej karyery wojskowej, bo tem samem miał i karę przebaczoną w połowie przynajmniej. Wysłano go na step do nowo budującej się fortecy Ak-

meczetu, zdobytej przed kilku miesiącami przez Perowskiego na Kokańcach.

Z pola bitwy nadchodziły coraz fatalniejsze dla moskali wiadomości. Nadzieja, że Sierakowskiego wezwą wkrótce do szeregów czynnych, była coraz prawdopodobniejszą. Snuł więc swą przędzę dalej; listy jego do matki, stąd pisane, tchną takim lojalizmem, że łatwo wprowadzić mogą w błąd każdego, kto by nie znał dalszych losów Zygmunta. W jednym liście pisał: „My nad Syr-Daryą czytamy w „Russkim Inwalidzie“ waleczne, nieśmiertelne czyny ks. Menszykowa pod Sewastopolem, ostatnia wiadomość nas doszła o dzielnej wielkiej bitwie 24 października — serce pęka, kiedy pomyślę, że my siedzim nad Syr-Daryą, a tam tak walecznie się biją — ale Bóg i Cesarz da, że i na nas przyjdzie kolej“. Kolej nadeszła, ale inaczej, niż się Zygmunt spodziewał. Rząd ogłaszał w rządowych pismach o coraz to nowych zwycięstwach, a tymczasem wrogowie Rosyi coraz gwałtowniej nacierali. Sewastopol dostał się w ich ręce. Śruba absolutyzmu, od czasów Piotra Wielkiego coraz mocniej zakręcana, pękła w Krymie w oczach całej Europy, Car Mikołaj otruł się ze zmartwienia i wstydu. Na tron rosyjski wstąpił młody car, znany ze swych liberalnych przekonań, Aleksander II. Zrozumiał on, że gmach absolutyzmu na dotychczasowych zmurszałych podstawach ostać się nie może. Zabrał się więc do ich przebudowania.

Zaczęły się reformy; rząd kokietował z liberałami. Ale w pierwszym rzędzie chciał sobie ująć „nieprzejednanych“ polaków. Dał więc amnestyę emigrantom z 31 r., zesłanym na Syberyę, obiecał ulgi i t. d. Wtedy to uwolniono i Sierakowskiego. Zaawansowany na oficera, przybył on w 1857 r. do Petersburga. Wtedy to się zaczęła wojskowa karyera Sierakowskiego. Po skończeniu akademii wojskowej w r. 1859, został wcielony do jeneralnego sztabu gwardyi. Posypały się łaski i awanse na utalentowanego byłego skazańca-konspiratora, po dwóch latach służby, z nędznego „praporszczyka“ liniowego, a następnie dragońskiego, został kapitanem sztabu jeneralnego. W 1860 roku reprezentował on Rosyę na kongresie statystycznym w Londynie. Wziętość jego wzrastała z każdym dniem. Był on ulubieńcem ministra wojny, Milutina.

Skoro jednak Sierakowski dostał się na tak wysokie stanowisko, zaraz zaczął pracować nad urzeczywistnieniem jeszcze w Orenburgu powziętego dążenia, a mianowicie nad zniesieniem kary cielesnej w armii. Wiara w dobrą wolę rządu moskiewskiego była jeszcze tak silną, że niejednego zaślepiała. Do tego przychylność w kołach radykalnych, a nawet liberalnych w Rosyi dla polaków była tak wielką, że polacy łączyli sprawę uwolnienia Polski z wprowadzeniem reform w Rosyi. Z właściwą sobie energią Sierakowski zaczął agitować za reformą, zdobywać sobie zwolenników we wszystkich warstwach społeczeństwa. Było to zresztą bardzo na czasie. Nic nie wykazało takiej zgnilizny podczas ostatniej wojny, jak właśnie armia rosyjska. Wkrótce powierzono Sierakowskiemu wypracowanie projektu naprawy stosunków karnych w prawodawstwie wojskowem. Z faktami i cyframi w ręku

stanął Sierakowski śmiało przed powagami wojskowemi, które wyrosły właśnie na gruncie katowskiego panowania poprzedniego. Sam tylko minister wojny, młody Milutin, stanął po jego stronie. Komisya, która się reformą tą zająć miała, projekt Sierakowskiego przyjęła i przedstawiła carowi do zatwierdzenia, które też nastąpiło ostatecznie d. 17 kwietnia 1863 roku.

Pomimo jednak tak gorliwego zajmowania się losem żołnierza rosyjskiego, Sierakowski ani na chwilę nie zapomniał o własnej ojczyznie. W Królestwie wówczas wrzał ruch. Nadzieje, pokładane na liberalne usposobienie cara, zupełnie zawiodły. Car podczas pierwszego pobytu swego w Warszawie oświadczył, że „rządy ojca jego (Mikołaja) były najlepszymi". Wracający z wygnania powstańcy podniecili opowiadaniami o świetnych czasach umysły gorętszych patryotów i rzucili ziarno powstańcze, które wkrótce tak bujnie się rozwinęło. W 1860 r. zaczęły się głośne manifestacye w Warszawie i na Litwie, które elektryzowały masy ludności i dodawały otuchy do wiary we własne siły. Myśl o zbrojnem powstaniu coraz bardziej dojrzewała. W Warszawie utworzył się Komitet, który, ująwszy władzę w swe ręce, stał się z czasem Rządem Narodowym. Zaczęła się praca przygotowawcza. A praca wobec olbrzymiego zadania była ogromna. Rzeczą pierwszorzędnej doniosłości dla przyszłego powstania było szukanie sprzymierzeńców w sercu wroga — Rosyi.

Tego to zadania podjął się Sierakowski. Miał on ogromny wpływ nietylko na znajdujących się w Petersburgu polaków, ale i na moskali, których sobie ujął wystąpieniem w obronie katowanego żołnierstwa i agitacyą za uwolnieniem włościan. Żył w wielkiej przyjaźni z rewolucyonistami rosyjskimi: Czernyszewskim, Dobrolubowym, Michajłowym i wielu innymi.

Zajmował się więc przedewszystkiem organizowaniem służących w Petersburgu oficerów polaków, przygotowaniem ich do zbrojnego powstania i zarazem rewolucyonizowaniem ich. Dzielnie mu w tem pomagali Jarosław Dąbrowski, Zygmunt Padlewski i inni. Główną sprężyną jednak całej tej organizacyi był Sierakowski. Był on przytem dzielnym konspiratorem, i temu zawdzięczał legalne utrzymanie się na tak wysokiem stanowisku przez całe lata istnienia założonej przez niego, bardzo rozgałęzionej, bo sięgającej innych miast moskiewskich organizacyi. Tej to organizacyi powstanie 63 r. zawdzięcza swoich najdzielniejszych i najbardziej rewolucyjnych oficerów.

Oprócz tego Sierakowski bardzo czynnie zajmował się pozyskaniem sympatyi społeczeństwa rosyjskiego dla powstania polskiego, popularyzował hasło powstania i werbował mu sojuszników. Jako wojskowy jednak nie zadowalniał się czczą sympatyą, która niknie równie szybko, jak powstaje. Zachęcał więc rewolucyonistów rosyjskich do organizowania się, aby wspólnemi siłami zadać ostateczny cios caratowi. Dzięki to jego zapobiegliwości powstała organizacya rosyjska „Ziemla i Wola", która wyraźnie wypisała na swym sztandarze hasła rewolucyjne i niesienie pomocy ujarzmionej Polsce. Prowadził też Sierakowski ru-

chliwą agitacyę wśród oficerów moskiewskich, działając w myśl polecenia Komitetu centralnego.

Wracając z kongresu londyńskiego w r. 1861, stanął w Wilnie. Zapoznał się tam z rodziną Dalewskich, skazańców politycznych, którzy na podstawie manifestu carskiego powrócili świeżo z Sybiru. Tu poznał pannę Apolonię i odrazu się w niej zakochał. Dali sobie słowo, i połączyli się niebawem.

W Królestwie tymczasem jak gdyby wszystko składało się na przyśpieszenie powstania: rząd petersburski, namiestnik i jeszcze więcej Wielopolski. Zaczęły się prześladowania, które wywołały zamachy na namiestnika i margrabiego Wielopolskiego. Rozpoczęcie zbrojnego powstania było już tylko kwestyą czasu. Wszyscy byli jednak zdania, że zawcześnie jeszcze na powstanie. Najwięcej pohopni radzili czekać do jesieni 1863 r. Było to w grudniu 1863 r. Sierakowski bawił wtedy z polecenia ministra wojny zagranicą, w Paryżu. Narodowy Komitet centralny zajmował się sprowadzaniem broni do kraju. W skutek niedołężnego prowadzenia sprawy w Paryżu, policya francuska dowiedziała się o wszystkiem, przyaresztowała ajentów Komitetu w Paryżu, odebrała im papiery, które doręczyła ambasadorowi moskiewskiemu dla skopiowania ich. Papiery zawierały bardzo wiele szczegółów, mogących skompromitować tak Komitet centralny, jak i wiele innych osobistości. Na szczęście dowiedział się o tem Sierakowski, który pośpieszył do Warszawy i zawiadomił Komitet o grożącem mu niebezpieczeństwie

Przybycie Sierakowskiego do Warszawy przypadło na chwilę, gdy tam na żądanie Komitetu zjechało kilku dowódzców przyszłego powstania dla narody i powzięcia decydującego postanowienia. Sierakowski, jak zresztą i inni, odradzał natychmiastowe powstanie, na co Komitet się w zupełności zgodził.

Jakkolwiek jednak takie powzięto postanowienie, Komitet centralny zażądał od dowódzców planu przyszłej wojny o niepodległość. Plan Sierakowskiego był następujący: zaraz po wybuchu powstania należy prowadzić wojnę partyzancką, a potem drobne oddziały łączyć w kolumny i starać się opanować choć część kraju dla zorganizowania tam armii regularnej. Na razie radził, aby istniejącej organizacyi nadać charakter wojskowy i zwrócić jej działalność wyłącznie na przygotowywanie zapasów broni, amunicyi i pieniędzy. Radził przytem, dla większej sprężystości w działaniu, znieść urzędy wojewódzkie, a natomiast podzielić cały zabór rosyjski na pięć części, czyli okręgów wojennych. Litwą, która stanowiła jeden okręg, miał zarządzać Sierakowski.

Nadeszła nieszczęśliwa branka w styczniu 1863 r. Ręka przemocy targnęła się na całą postępową młodzież. Wielopolski zamyślał za jednym zamachem pozbawić kraj najdzielniejszych obrońców. Komitet centralny uczuł się bezbronnym wobec biegu wypadków. Powstanie wybuchło. Bez broni, bez amunicyi, bez należytej wojskowej organizacyi, z przekleństwem jeno na ustach, porwał się naród do powstania.

W opinii publicznej rosyjskiej zaszedł tymczasem zwrot nieprzychylny dla polaków. Rząd moskiewski, zagrożony w swych podsta-

wach dzwonił na alarm i poruszył najohydniejsze żywioły. Dzielnie pomagali mu przytem liberali, którzy dawniej „buntowali się" przeciwko rządowi, a obecnie występowali w obronie zagrożonego państwa rosyjskiego. Dodajmy jeszcze, że rząd nawet podburzał żołnierzy przeciw podejrzanym o „nieprawomyślność" oficerom i rozszerzał wieści o rzekomych okrucieństwach, przez polaków na bezbronnych moskiewskich żołnierzach popełnianych. Szczupła garstka rewolucyonistów rosyjskich, którzy pozostali wiernymi sztandarowi, oddzieloną została od społeczeństwa chińskim murem nienawiści narodowej, szowinizmu zaborczego; oficerowie, przychylnie dla polaków usposobieni, nieraz odbierali sobie życie, nie mogąc zapobiedz wyrzynaniu polaków W Petersburgu nie było co robić. Ze smutkiem patrzał Sierakowski na zawiedzione nadzieje, pokładane na rewolucyonistów rosyjskich. Natomiast polscy oficerowie po jednemu dążyli na pole walki. Na Sierakowskiego władze patrzały jednak jako na wiernego sługę carskiego. Posypały się na niego łaski, na początku 63 r. został półkownikiem. Karyera wojskowa stała przed nim otworem. Wskazywano na niego jako na przyszłego ministra wojny. Mocno się jednak mylono. Nie ministrem wojny chciał być Sierakowski, lecz naczelnikiem powstania na Litwie, nie szlify jeneralskie miały go zdobić, lecz laury męczeństwa za ojczyznę.

Litwa cała z niecierpliwością oczekiwała hasła powstania. Żmudź była do głębi wzburzoną, i już na początku marca też za broń chwyciła za przewodem ks. Mackiewicza. Przyczyniło się do tego niezadolenie z połowicznego charakteru reformy sprawy włościańskiej. Upłynęły bowiem wtedy te dwa lata, podczas których sprawa włościańska miała być uregulowaną. Sierakowski był jednak zbyt wojskowym, zbyt dobrze znał siły moskiewskie, aby mógł zacząć wojnę, opierając się na bezbronnej rzeszy. Radził więc Wydziałowi Litwy, aby broń sprowadził na Litwę morzem. Życzeniu temu stało się zadość. Zebrano sumę potrzebną na 20.000 sztuk broni, które zakupiono w Anglii. Nabyto także statek, który miał dostarczyć te zapasy do kraju.

W połowie marca 1863 r. Sierakowski opuszcza więc Petersburg i udaje się do Wilna, gdzie Wydział litewski przeznaczył go na wojewodę Wileńskiego i Żmudzkiego. Po kilku dniach Zygmunt odjechał do Kowna, a stąd do Szat, i objął urząd. Występował pod przybranem mianem Dołęgi, i odrazu zajął się organizowaniem mas, zgłaszających się do powstania. Z sobą przywiózł dwóch kapitanów: Antoniewicza, skazańca politycznego z 1848 r., i Ignacego Laskowskiego, profesora matematyki w artyleryjskiej akademii wojskowej. Dowódzcami oddziałów byli: ks. Mackiewicz, który później tak zasłynął ze swej wytrwałości na polu walki, Bolesław Kołyszko i Dominik Malecki. Kawaleryą dowodził Łabanowski, a kosynierami bohater poeta, Paweł Wiwulski. Ufny w przybycie broni z zagranicy, Sierakowski zajął się tymczasem ćwiczeniem oddziałów powstańczych. W oddziale nie było żadnych kar, Sierakowski tak potrafił oddziaływać na tę gromadę, że kar nie było potrzeba. Nieraz z ojcowską łagodnością sądził i godził poważnionych. Na włościan litewskich Sierakowski wywierał ogromny urok. Zewsząd garnęli się do jego obozu. Zwoływano chłopów z okolicy,

i wódz odczytywał im manifest Rządu Narodowego o uwłaszczeniu; godzinami całemi tłómaczył im znaczenie ich obecnego położenia i zagrzewał ich do walki. To też ilość zaciągniętych do powstania chłopów rosła z nadzwyczajną szybkością. Włościanie chętnie się uczyli musztry, zwłaszcza że nauka odbywała się w języku litewskim, którym instruktor ich, Wiwulski, władał doskonale. „We dwa tygodnie — mówił później na śledztwie — miałem dwa tysiące żołnierza, a za dwa miesiące miałbym dziesięć tysięcy litewskiej armii“. Starał się też Sierakowski unikać starć z moskalami, zanim broń nadejdzie.

A broń wciąż nie nadchodziła. Rząd moskiewski dowiedział się o zakupnie jej i potrafił przeszkodzić jej dostarczeniu. Natomiast wojsko nieprzyjacielskie coraz bardziej nacierało na oddziały Sierakowskiego. Nie można już było dłużej zwlekać z czynną walką. Pierwszą bitwę stoczył Sierakowski pod Rogowem 18 kwietnia i pobił rosyan. Drugą utarczkę, także szczęśliwą, miał niedaleko Korsakiszek.

W Warszawie wtedy właśnie nastąpiło pojednanie szlacheckiego stronnictwa „białych“ z Rządem Narodowym, a raczej zawładnięcie Rządu Narodowego przez „białych“. Zaczęto unikać haseł rewolucyjnych, aby nie zrażać koronowanych protektorów, rzekomych przyjaciół powstania, w rodzaju Napoleona III. Powstanie zaczęło tracić charakter społeczny, ze szkodą dla samej sprawy, a nabierać charakteru czysto politycznego. Zapał, który poprzednio udzielał się i ludności wiejskiej, zaczął gasnąć. Wszystko to nie mogło pozostać bez wpływu na Litwę, której Wydział już dawno odznaczał się umiarkowaniem. Nie mówiono o zniesieniu stanów, jeno o braterstwie stanów, a nawet i o tem również rychło zapomniano. Podsycano tylko fanatyzm religijny. Słusznie też powiada były członek Komitetu centralnego Br. Szwarce: „Sierakowski stanął na czele żmudzkich chłopów, bijących się nie za ojczyznę, nie za wolność, ale za obcą ich przywódzcy wiarę, i stał się męczeńską ofiarą owego pojedynku dwóch Matek Boskich, Częstochowskiej i Kazańskiej“.

Jednak Sierakowski nie tracił ducha. Wkrótce powziął zamiar wyruszenia do Kurlandyi, aby rozniecić pomiędzy łotyszami ludowe powstanie. Przy tem miał nadzieję, że gdy będzie bliżej morza, uda mu się sprowadzić broń, której dotąd dostać nie mógł. Miał pod swojem dowództwem dziewięć batalionów, co stanowiło mniej więcej 2.700 ludzi. Wojsko to podzielił na trzy kolumny: sam prowadził środkową, ks. Mackiewicz tworzył prawe skrzydło, Kołyszko lewe. Pod Madejkami niedaleko miasta Birż jenerał Ganeckij, mając pod swojem dowództwem trzy tysiące żołnierza, uderzył na połączone kolumny Sierakowskiego i Kołyszki. Ksiądz Mackiewicz jeszcze nie był nadszedł. Pomimo, że powstańcy mieli przed sobą znacznie silniejszego wroga, po półtoragodzinnej potyczce zmusili go cofnąć się. Na drugi dzień o godzinie 11 rano Ganeckij, zasilony 200 strzelbami, powtórnie uderzył na Sierakowskiego. Ks. Mackiewicz wciąż nie przybywał. Uparcie walczono z obu stron. O godzinie 5 Sierakowski został raniony kulą w kość pacierzową i to rozstrzygnęło bitwę. Powstańcy ponieśli straszną klęskę.

W kilka dni później w pewnym domku leśnym moskale ujęli Sierakowskiego, Kołyszkę, Kosakowskiego i jeszcze kilkunastu innych powstańców. Odwieziono ich do Wilna.

Powstanie Żmudzi budziło wielkie obawy w Petersburgu. Groziło ono odcięciem najbliższych jego komunikacyi. Wtedy to car Aleksander II rzucił się w objęcia największego naówczas potwora, Murawiewa-Wieszatela; nadał mu nieograniczone prawa nad sześciu guberniami litewskiemi. Zaczęły się straszne okrucieństwa. Jedną z pierwszych ofiar Murawiewa był Zygmunt Sierakowski. Z nietajoną uciechą zabrał się Murawiew do tego procesu. Sądząc ze stosunków, jakie Sierakowski miał w Petersburgu, Wieszatel spodziewał się dla siebie cennych „odkryć“. Zawiódł się jednak. Pomimo ciągłych badań, które były istną męką dla ciężko rannego Zygmunta, nie wydobyto z niego nic. Murawiew wściekał się. Widział przytem, że ofiara wymyka mu się z rąk, jeniec bowiem był ciężko chory i blizki zgonu. Pośpieszono więc z sądem wojennym, który d. 22 czerwca 1863 r. skazał go na śmierć. 27 czerwca powleczono nawpół martwego Sierakowskiego na plac Łukiszki i tam go powieszono. Rodzina Zygmunta zdołała ujść do Galicyi.

* * *

Czterdzieści lat minęło od chwili wybuchu powstania styczniowego. Na ziemiach polskich wyrosło nowe pokolenie. Sztandar walki o niepodległość wywiesiła nowa, już po powstaniu ze społeczeństwa wyłoniona klasa — proletaryat. Sztandar ten dziś to czerwony znak rewolucyi socyalistycznej. Nowe czasy, nowe hasła, ale nić tradycyi bojowej nieprzerwana, i z najazdem niema i być nie może przejednania. A gdy w przyszłość śmiałym wzrokiem sięga ta armia nowa niepodległej Polski ludowej, toć jednak i w przeszłości narodu znajdziemy wiele, wiele chwil świetnych, wiele postaci promieniejących poświęceniem, męstwem, wytrwałością, rozumem i głęboką, serdeczną miłością ludu. Jedną z najwspanialszych postaci w długim szeregu bohaterów z przed lat czterdziestu był Sierakowski. Syn bojownika i męczennika za wolność, ubogi student, spiskujący na ławie szkolnej; cierpliwy i wytrwale do nowych prac szykujący się zesłaniec; znakomity talent wojskowy; prawdziwy międzynarodowiec, umiejący czynnie walczyć „za naszą i waszą wolność“ a pracujący nad wyzwoleniem od hańbiącej kary cielesnej tego samego ciemnego żołdaka moskiewskiego, który miał wkrótce znowu krwią zalać ojczyznę swego dobroczyńcy i zaprowadzić go samego na szubienicę; rzeczywisty patryota, dla którego szczęście mas ludowych było jedyną prawdziwą wielkością narodu... takim był Zygmunt Sierakowski.

Oby jak najwięcej takich żołnierzy i takich wodzów miało przyszłe nasze powstanie, zwycięska rewolucya polskiego ludu pracującego.

Mieczysław Michalski

SĄDOWNICTWO A SOCYALIZM.

I.

Jeśli nas kto zapyta: jaka organizacya sądów byłaby najlepsza z socyalistycznego punktu widzenia, to mamy ogromną ochotę powiedzieć — żadna. Najlepiej by było, gdyby sądów wcale nie było. Istotnie, jakaż jest czynność sądów? Dwojaka: albo karać za przestępstwa, albo rozstrzygać spory majątkowe *). Tymczasem, czemże jest przestępstwo? Weźmy takie przestępstwo, jak kradzież, które dzisiaj, i nietylko dzisiaj, ale we wszystkich społeczeństwach, w których istnieje własność prywatna, tak surowo jest karane i daje powód do bardzo dużej ilości spraw sądzonych przez trybunały. Oczywista rzecz, że kradzież może być popełniona w takim ustroju społecznym, gdzie istnieje własność prywatna i gdzie, oprócz tego, istnieją znaczne różnice w podziale tej własności, tak, że jedni ludzie mają nadmiar bogactw, a drudzy nie mogą zaspokoić swych potrzeb życiowych. Wówczas oczywiście niejeden biedak sięga po cudze dobro, a klasa posiadająca musi ustanawiać jak najsurowsze kary zato i sądy do nakładania tych kar, aby obronić swój, cudzą pracą zdobyty, wyzyskiem zbudowany majątek. A jeśli człowiek bogaty szwindluje, oszukuje innych, urządza różne Panamy i t. p., to i to pochodzi z teraźniejszego ustroju: bo ustrój ten oparty jest na walce wszystkich przeciwko wszystkim, na wolnej konkurencyi, bo w nim żaden kupiec, żaden przemysłowiec nie jest pewny swojego bytu, może zbankrutować, więc każdy chce zbić zawczasu jak najwięcej pieniędzy, i niejeden wybiera do tego sposoby nieuczciwe. Przenieśmy się teraz myślą do ustroju socyalistycznego: ziemia, fabryki, wogóle — narzędzia wytwarzania są własnością całego społeczeństwa, każdy człowiek ma zapewnione miejsce w ogólnem gospodarstwie i wzamian za to — zapewniony, spokojny byt. Jedni są tego zdania, że społeczeństwo, zarządzające samo całem swojem gospodarstwem, powinno wynagradzać ludzi odpowiednio do pracy każdego, przyczem jednak chorzy, starcy, dzieci, wogóle — niezdolni, powinni mieć w każdym razie zapewniony ludzki byt; inni sądzą, że lepiej by było wtedy wymagać od każdego pewnej określonej pracy, krótszej w cięższych fachach, dłuższej — w lżejszych i ponętniejszych, a w zamian za to dawać każdemu równy udział w bogactwach ogółu. Nie możemy oczywiście przesądzać, jaki system wybierze przyszłe społeczeństwo, w którego szczegóły wogóle wdawać się nie chcemy, bo nie posiadamy na to dostatecznych danych; ale tak czy owak oczywi-

*) Pozostawiamy na stronie takie rzeczy, jak poprawianie błędnie sporządzonych metryk i t. p., które właściwie należą do władzy administracyjnej, a tylko dla większej pewności powierzane są sądom.

stem jest, że kradzież i oszustwo muszą wtedy zniknąć zupełnie, jako całkowicie zbyteczne i bezsensowne; wogóle, musi zniknąć wtedy wszelkie uczucie zazdrości i pożądania względem cudzego majątku, które dziś jest źródłem tylu zbrodni. Jeśli pragnę mieć to, co ma mój sąsiad, mogę wtedy poprostu albo nieco więcej pracować, albo też, jeśli przyjęty jest system równego udziału w bogactwach społecznych, zrobić odpowiedni wybór: jeśli chcę piękniej mieszkać, to trochę mniej pięknie się ubierać, lub naodwrót.

W ustroju socyalistycznym zniknąć muszą również powody do całego mnóstwa spraw majątkowych, które dziś zatrudniają sądy. Dziś bowiem każdy wchodzi w różne stosunki gospodarcze z różnemi pojedyńczemi osobami: kupuje i sprzedaje, wynajmuje się i wynajmuje, pożycza i wypożycza i t. d.; dziś, kto może nagromadza pieniądze i bogactwa, o które, po jego śmierci, kłócą się liczni spadkobiercy i t. d. W ustroju socyalistycznym, naogół biorąc, każdy znajdować się będzie w stosunku ekonomicznym tylko do ogółu, do całego społeczeństwa: społeczeństwu oddawać będzie swą pracę lub wytwór i od niego otrzymywać wynagrodzenie, i z drugiej strony wzamian za wykonaną pracę od społeczeństwa, że się tak wyrazimy, „kupować“ wszystko, czego potrzeba. Ponieważ wszelkie narzędzia pracy, czyli ziemia, fabryki, koleje i t. p., należeć będą do społeczeństwa, i nikt prywatny nie będzie mógł prowadzić takiego przedsiębiorstwa, do którego potrzebowałby wynajmować innych, czyli żadnego większego przedsiębiorstwa, więc nikt nie będzie nagromadzał sam na własną rękę bogactw, które by mógł w spadku zostawić, tembardziej, że nikt nie będzie potrzebował troszczyć się o los swoich dzieci, bo wszystkie dzieci będą otrzymywały wychowanie i wykształcenie fachowe i będą pewne, że znajdą pracę i dostatnie utrzymanie. Więc całe mnóstwo procesów majątkowych, które dziś toczą się całymi latami przed niższymi i wyższymi sądami, — znikną.

Wracając do zbrodni, pamiętać jeszcze musimy, że i inne zbrodnie, nie mające majątkowego charakteru, jako to: morderstwa, podpalania, gwałty i t. p., pochodzą z ustroju społecznego, opartego na wyzysku i nierówności. Jakże często bowiem bywają one tylko środkiem do wykonania kradzieży albo do zabezpieczenia się przed karą za kradzież? A i poza tem są one następstwem ciemnoty, brutalności, zazdrości, które pochodzą stąd, że całe masy ludu przez cały szereg pokoleń żyją w warunkach, podobniejszych do zwierzęcych, niż do ludzkich. Gdy masy te posiędą dobrobyt, gdy w ślad za dobrobytem przyjdzie oświata, i nietylko oświata, ale i wychowanie moralne wszystkich dzieci w odpowiednio prowadzonych szkołach społecznych, wychowanie, wyrabiające przedewszystkiem uczucia solidarności, miłości bliźniego, poszanowanie cudzego życia i szczęścia, wtedy z biegiem czasu, może niezbyt długiego, znikną wszelkie zbrodnie. Dziś społeczeństwo, które, jak widzimy, samo jest przyczyną popełnianych zbrodni, umie odpowiadać na nie tylko karą, karą śmierci lub zamknięcia, czyli poprostu zemstą. Do wymierzania kar potrzebne są sądy, i celem ich jest — groźbą srogiej kary odstraszać ludzi od złego. Lecz

w rzeczywistości kary nie odstraszają wcale od zbrodni tych, których do niej popycha nędza lub ciemnota i brutalność, z nędzy wynikające; a ponieważ kary są tylko zadawaniem mąk ludziom przez ludzi, więc zamiast umoralniać, przeciwnie demoralizują swym widokiem całe społeczeństwo, i widok kary śmierci uczy nie szanować cudzego życia, świadomość, że ludzie, bliźni nasi, zamknięci są więzieniach i piętnowani, dręczeni przez innych ludzi, często wcale nie lepszych od skazanych zbrodniarzy, odbiera nam wiarę w sprawiedliwość i wpaja przekonanie, że wolno zadawać drugiemu człowiekowi cierpienie. I dziś już dużo ludzi, nawet broniących teraźniejszego ustroju, widzi, że przestępców należałoby raczej wychowywać lub leczyć, a nie karać; tylko że ich zakłady wychowawcze, „poprawcze" dla przestępców i ich szpitale dla zbrodniarzy, uznanych za niezupełnie zdrowych na umyśle, niczem nie są lepsze od więzień. A już o tem, żeby zapobiegać zbrodni przez polepszenie dobrobytu i oświatę ludu, niema u nich mowy, bo w kapitalistycznym ustroju jest to niemożebne.

Jeszcze jedno musimy zważyć: oto dziś jest bardzo wiele czynów „występnych", których właściwie wcale za występki uważać nie można, i które w socyalistycznym ustroju wcale występkami nie będą. Weźmy np. przestępstwo polityczne: spisek, obrazę majestatu, rozszerzanie zakazanych książek i t. p. Oczywiście, że tam, gdzie nie będzie żadnych „majestatów", gdzie będzie zupełna swoboda prasy i słowa, gdzie nikt uciskiem swym i wyzyskiem nie będzie nikogo zmuszał do spiskowania, tam o tych wszystkich „zbrodniach" nie będzie ani słychu i ludzie będą z politowaniem wzruszali ramionami na dzisiejsze czasy, kiedy za podobne czyny sądzi się i karze ludzi biednych i uczciwych.

Dla tych wszystkich powodów powracamy do tego, cośmy powiedzieli na początku: najlepiej by było, żeby sądów nie było wcale.

Ale jest i druga strona sprawy, która nam pokaże, że tak całkowicie możliwe to nie jest. Weźmy najpierw ustrój już socyalistyczny. W takim ustroju ludzie znajdować się będą w stosunkach gospodarczych głównie tylko do ogółu, do całego społeczeństwa, reprezentowanego oczywiście przez różne organy czyli władze: zgromadzenie narodowe i głosowanie powszechne w sprawach najważniejszych i najogólniejszych, jakiś komitet czyli rząd narodowy, lub różne jego wydziały, w sprawach poszczególnych. Otóż nawet w takim ustroju każdy pojedyńczy człowiek może być niezadowolony z wykonania przez władzę społeczną obowiązków względem niego, lub naodwrót: może być niezadowolony z wyznaczonego mu miejsca lub czasu pracy, z wynagrodzenia i t. p.

I dzisiaj istnieje t. zw. sądownictwo administracyjne, które sądzi np. zażalenia obywateli co do wymiaru podatków i t. p.; coś odpowiedniego, jak widzimy, będzie potrzebne i w socyalistycznym ustroju, choć oczywiście w zupełnie innej formie i choć sprawy sądowe będą miały całkiem odmienną treść. Dalej, nie możemy tak bezwzględnie twierdzić, że ludzie w socyalistycznym ustroju nie będą nigdy nic kupowali jedni od drugich, tylko wszystko od społeczeństwa; jeśli idzie o wytwarzanie masowe rzeczy do ogólnego użytku, to oczywiście bę-

dzie ono prowadzone przez społeczeństwo, i ludzie wytwory te będą otrzymywali od społeczeństwa na warunkach z góry określonych; ale przecież wtedy będą też istnieli z pewnością nietylko artyści we właściwem znaczeniu tego wyrazu, ale i rzemieślnicy artystyczni, wytwarzający rzeczy gustu, jak zegarki, klejnoty różne ozdoby ubrań, mieszkań, zastaw stołowych; powiększony dobrobyt pozwoli każdemu posiadać takie rzeczy, i każdy zechce je mieć podług swego gustu, a więc będzie je zamawiał u bezpośredniego rzemieślnika, umawiał się z nim o szczegóły wykonania i o wynagrodzenie, jeśli nie za pomocą pieniędzy, które w takim ustroju są niepotrzebne, to za pomocą jakiejś pracy czy usługi ze swej strony lub przekazu na pewną część bogactw społecznych, sobie należnych. Mogą i z tych umów wynikać nieporozumienia, wymagające rozsądzenia. Wreszcie nie są one niemożliwe i przy podziale pozostałości po zmarłych, bo choć nie będzie spadków w dzisiejszem znaczeniu, pieniędzy, gruntów, fabryk i t. d., ale przecie osobiste rzeczy zmarłego, pamiątki i t. p., członkowie rodziny mogą chcieć podzielić. Zapewne, należy się spodziewać, że ludzie przyszłości potrafią wszelkie tego rodzaju nieporozumienia i spory załatwiać zgodnie, na drodze polubownej, ale prawdopodobnie istnieć też będą sądy społeczne dla załatwiania ich w przeciwnym razie.

Widzimy więc, że t. zw. sądownictwo „cywilne“ (majątkowe) nie może całkowicie zniknąć w przyszłym ustroju. Jakże się rzecz ma z sądownictwem „karnem“, czyli rozpatrującem zbrodnie i przestępstwa? Zapewne, mówiliśmy wyżej, że zbrodnie zniknąć muszą — ale jest to prawdą tylko z pewnem ograniczeniem. Długie, długie wieki nędzy, ciemnoty, brutalności, gwałtów, przesądów zaszczepiły w ludziach dużo skłonności do złego, i nauka mówi nam, że niejeden człowiek rodzi się już ze skłonnością do mordowania, gwałcenia kobiet, niszczenia i t. p. Oczywiście, skłonności te niekoniecznie muszą się urzeczywistniać w czynie; przeciwnie, wybuchają one zwykle tylko w sprzyjających, złych warunkach społecznych, a odpowiednie wychowanie i postawienie człowieka w innych warunkach może je stłumić. Oczywiście też, społeczeństwo przyszłe będzie przedewszystkiem stosowało tę hygienę moralną, będzie się starało wykorzeniać skłonności zbrodnicze w dzieciach już i zapobiegać objawianiu się ich u dorosłych. Ale nie można się spodziewać, żeby to się udawało całkowicie; przeciwnie, niektóre organizmy są tak wypaczone, że ich potomkowie, szczególniej w ciągu pierwszych kilku pokoleń, będą od czasu do czasu pomimo wszystkich ostrożności mordowali, gwałcili, podpalali i t. p. Czyż społeczeństwo przyszłe, spytamy, będzie ich za to karało? O tem niema mowy; na to będzie ono zbyt rozumne i szlachetne. Wiedząc, że ludzie ci są chorzy, będzie ich leczyło łagodnymi sposobami, a w razie nieuleczalności — trzymało tylko z konieczności w oddaleniu od innych ludzi, aby im nie szkodzili. To też tow. prof. Henryk Ferri, przywódca włoskiej szkoły t. zw. „społeczno-antropologicznej“ w kryminologii (czyli szkoły, która na podstawie nauki przyrodniczej o człowieku, antropologii, oraz nauk społecznych, żąda właśnie takiej reformy sądownictwa), uważa, że wszelkie sądy karne należałoby zastąpić — komi-

syami lekarzy specyalistów, którzy by określali stan zdrowia lub rodzaj choroby przestępcy. Ale w tem niezupełnie zgodzić się można z tow. Ferrim. Ponieważ leczenie przestępców, nienormalnych duchowo, lub oddzielanie ich od ludzi, którym mogą szkodzić, połączone być musi z pewnem, choćby najłagodniejszem ograniczeniem wolności osobistej, która jest jednym z największych skarbów człowieka, więc postanawiania o tem nie można pozostawić w zupełności fachowcom lekarzom, między którymi z łatwością wytwarza się duch kastowy, poczucie nieomylności i żądza władzy, lecz powinni oni być tylko rzeczoznawcami, przedstawiającymi swoje wnioski sądowi, złożonemu czy to z przysięgłych wylosowanych (jak dzisiaj), czy z sędziów, wybieranych przez lud — co lepsze, zobaczymy później.

Okazuje się zatem, że pewna organizacya sądowa potrzebna będzie nawet w ustroju już czysto socyalistycznym. Rozpatrzenia tej potrzeby nie chcieliśmy pominąć, żeby ktoś nie powiedział: — A, na co to wszystko, po co rozmyślać o tem, jaka powinna być organizacya sądowa, kiedy ona właściwie powinna być zupełnie zniesiona i kiedyś będzie zniesiona? Ale od tego, bądź co bądź dość oddalonego jeszcze ustroju socyalistycznego za daleko ważniejszy, bo bliższy nas, uważamy okres przejściowy, okres walki proletaryatu o urzeczywistnienie socyalizmu. Dziś już prowadzimy tę walkę. Dzisiaj polega on na tem, że proletaryat poprawia stopniowo swoje położenie pod wszystkimi względami i przygotowuje się do zdobycia władzy politycznej. W tym celu partya socyalistyczna musi starać się ograniczyć na każdym punkcie ucisk proletaryatu przez klasy panujące oraz otwierać mu dostęp do wszelkich instytucyi, wpływających na zarząd społeczeństwa. Przyjdzie wreszcie chwila, że zdobędziemy władzę polityczną; wówczas zaczniemy świadomie i celowo ustrój kapitalistyczny przekształcać na socyalistyczny. Ale i to nie uda się za jednym zamachem; przez jakiś czas, może dość długi, społeczeństwo znajdować się będzie w stanie przejściowym, podczas którego socyalistyczny proletaryat będzie musiał nietylko wprowadzać odpowiednie reformy, ale i zwalczać grożącą reakcyę. Do tego to okresu zdobycia władzy politycznej przez klasę robotniczą stosuje się głównie cały nasz program partyjny — jakkolwiek oczywiście już teraz staramy się w miarę możności urzeczywistniać choć częściowo różne jego punkty, a w skutek tego już i w dzisiejszych państwach stawiamy różne żądania skromniejsze, bliższe, jak n. p. prawodawstwo fabryczne.

Pierwszą rzeczą, którą partya socyalistyczna, wziąwszy władzę w swoje ręce, będzie musiała uczynić, będzie zamiana każdego narodu pod względem ustroju politycznego na zupełnie demokratyczną (a gdzie będzie potrzeba — to oczywiście i niepodległą) rzeczpospolitą, w której by lud sam sobą rządził, — o ile ta zamiana nie zostanie dokonana stopniowo jeszcze wcześniej. Dlatego też w programie P. P. S. czytamy, że partya dąży do „samodzielnej rzeczypospolitej demokratycznej, opartej na następujących zasadach: 1) bezpośrednie, powszechne i tajne głosowanie; prawodawstwo ludowe, pojmowane zarówno jako sankcya (to znaczy, żeby cały lud głosowaniem swem potwierdzał prawa, uchwa-

lane przez wybrane zgromadzenie prawodawcze), jak też i inicyatywa (czyli, żeby pewna określona część obywateli mogła podawać wnioski nowych praw pod głosowanie ludu); 2) samorząd gminny i prowincyonalny z wybieralnością urzędników administracyjnych; 3) równość wszystkich obywateli kraju....; 4) zupełna wolność słowa, druku, zebrań, stowarzyszeń, i t. d. — Otóż zauważmy, że to wszystko stosuje się nietylko do wyżej określonego okresu przejściowego. I w społeczeństwie już zupełnie socyalistycznem ustrój polityczny nie może być inny, tylko właśnie musi to być zupełnie demokratyczna rzeczpospolita; bo inaczej kłamstwem by była zasada, że narzędzia produkcyi należą do całego społeczeństwa, i że społeczeństwo samo zarządza produkcyą i podziałem bogactw. Tak więc jeden i ten sam program polityczny służy nam i do walki dzisiejszej, i oświeca dalszą przyszłość, do której dążymy. Ale dlaczego to wszystko mówimy? Dlatego, że sądownictwo jest koniecznem dopełnieniem władzy politycznej i ustroju politycznego.

Jaki jest stosunek sędziego do tego, który wydaje prawa (władza prawodawcza) i do tego, który na zasadzie tych praw rządzi społeczeństwem, czyli wydaje ludziom odpowiednie rozkazy (t. zw. władza wykonawcza)? Sędzia występuje na scenę wtedy, jeśli prawo jest naruszone, rozkaz rządu nie wykonany, albo jeśli niewiadomo, jak, przez kogo, na czyją korzyść lub niekorzyść (np. w sprawach majątkowych, prywatnych) prawo lub rozporządzenie ma być wykonane. Orzeczenia, wyroki sądu wprowadza potem w życie rząd, władza wykonawcza, w razie potrzeby z użyciem przemocy. Jasnem więc jest, że kto ma w ręku władzę prawodawczą, a nie ma sądowej, tego panowanie jest niezupełne i niepewne. Jeśli prawo karze jakąś zbrodnię (np. zamach na członka rządu), a sąd uniewinnia „zbrodniarza“ (jak to zrobił np. sąd przysięgłych w Petersburgu z Wierą Zasulicz, która strzelała do policmajstra Trepowa), to prawo pozostaje martwą literą. Jeśli prawo orzeka, że fabrykant, winny nieprzestrzegania środków ostrożności w fabryce, ma zapłacić poszkodowanemu robotnikowi odszkodowanie, a sąd uznaje fabrykantów zbyt często za niewinnych, lub naznacza bardzo małe sumy odszkodowania, to co z tego robotnikom? i t. d. To też każdy rząd, każda klasa panująca stara się zawsze mieć nietylko władzę prawodawczą, ale i sądy w swych rękach. Dziś ma je burżuazya; jak do tego doszło — zobaczymy w drugiej części tego artykułu. Proletaryat, walcząc o odebranie władzy politycznej burżuazyi, musi też starać się już dziś o takie reformy sądowe, które by mu otworzyły dostęp do sądów i przezto pozwoliłyby często łagodzić i poprawiać los robotnika, zmniejszając ucisk, ułatwiać walkę partyi socyalistycznej. Gdy proletaryat stanie się klasą rządzącą, będzie musiał wziąć i sądy w swe ręce, aby pilnować porządku i ładu, bronić nowego ustroju od zamachów reakcyi i t. d. Wreszcie widzieliśmy, że nawet w idealnym ustroju socyalistycznym pewna organizacya sądowa będzie potrzebna: — bo jest ona wszędzie i zawsze naturalnem i niezbędnem dopełnieniem istniejącego prawa. Musimy tedy zastanowić się nad tem, jaka organizacya sądowa jest pożądana z punktu widzenia

socyalistycznego? W programie P. P. S., między innemi zasadami, na których ma się opierać nasza niepodległa demokracya, znajduje się też: „6) bezpłatna procedura sądowa, wybieralność sędziów...“; to samo żądanie znajdujemy w programach partyi socyalistycznych wszystkich innych narodów. I istotnie najlepiej odpowiada ono interesom proletaryatu zarówno w jego walce dzisiejszej, jak w okresie urządzania, utrwalania i rozwijania państwa socyalistycznego, jak interesom ogółu w idealnym ustroju socyalistycznym. Zaraz przekonamy się o tem; lecz przedtem rzućmy choć pobieżnie okiem na to, jak w ciągu dziejów formowało się i rozwijało sądownictwo.

II.

Sądzenie jest tak samo niezbędną czynnością społeczną, jak wytwarzanie albo prawodawstwo lub administracya; to też nie znajdujemy społeczeństwa, które by nie posiadało pewnych, choćby zaczątkowych, organów sądowych. Forma tych organów zmienia się naturalnie bardzo znacznie w ciągu wieków.

Lecz socyologia, czyli ogólna nauka o społeczeństwie, stwierdza, że wszystkie społeczeństwa mają w głównych zarysach jednakowy początek i przechodzą przez jednakowe formy rozwoju; oczywiście w głównych, zasadniczych zarysach tylko, bo w szczegółach zachodzą różnice, czasem dość znaczne.

Otóż na początku rozwoju historycznego znajdujemy u wszystkich ludów ustrój, bardzo niepodobny do teraźniejszego, a nawet do średniowiecznego lub starożytnego (grecko-rzymskiego). Ziemia jest własnością całej gromady, która składa się zazwyczaj z jednego lub kilku rodów. Niema podziału na klasy, na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Wszyscy członkowie gromady biorą udział w stanowieniu o wspólnych sprawach (gospodarstwa, wojny i pokoju itd.), czyli w prawodawstwie i zarządzie *). Nie inaczej rzecz się ma i z sądownictwem. Na początku rozwoju historycznego wszelkie sądy sprawuje cała gromada, albo też w jej imieniu i zastępstwie — grono starców, których wyrok jednak przeważnie podlega potwierdzeniu przez ogół. U wszystkich ludów europejskich **), zarówno u greków i rzymian, jak u germanów i słowian, znajdujemy jeszcze na początku historyi pisanej urządzenia bardzo podobne. Zgromadzenie wszystkich mężczyzn dorosłych i zbrojnych, czyli biorących czynny udział w życiu plemienia, odbywające się w pewnych określonych chwilach roku, to samo zgromadzenie, które stanowiło prawa, obierało wodzów, postanawiało wojnę albo pokój — sądziło również wszystkie ważniejsze sprawy, w których szło o śmierć lub życie. Mniej ważne sprawy i zatargi sądzone były na częstszych jeszcze, co miesiąc albo i częściej, odbywających się zebraniach gminnych. W ten sposób lud miał rzeczywiście sprawy swoje w swoich rękach, kierował swobodnie własnym losem.

---

*) Ob. „Społeczeństwo rodowe“, Z. R. Walczewskiego. 2 wyd. Londyn.
**) Mówimy: europejskich, ponieważ tylko te nas tutaj interesują.

Jak się to zmieniło? Nie możemy tu szczegółowo opisywać rozkładu równości pierwotnej, wytworzenia się nierówności i panowania jednej klasy ludzi nad resztą, nad ogółem. To musiałoby być zrobione w całym osobnym artykule, który może kiedy napiszemy*). Tu powiemy tylko tyle: Plemiona składały się z gmin (różnie zwanych — w ziemiach polskich „opolami“), gminy z rodów. Ród z początku stanowi jedną całość, wszyscy jego członkowie żyją razem pod zwierzchnictwem ojca rodu, razem uprawiają ziemię, razem chodzą na wojnę itd; potem kiedy się rozrasta, wówczas poszczególne rodziny, składające go, przestają mieszkać razem, pozostają tylko w sąsiedztwie, a jedna z rodzin, rodzina ojcowska, zachowuje przewodnictwo, największą przestrzeń gruntów, otrzymuje największą część łupów wojennych i jeńców, w ten sposób gromadzi największe bogactwa i zdobywa władzę nad resztą. Jeśli znów weźmiemy całe plemię, to wodzowie jego, naczelnicy wojenni czyli książęta, są z początku obieralni, lecz wprędce wybór zaczyna padać stale na najbogatszą i najpotężniejszą rodzinę, tak że władza książęca, przechodząca później w królewską staje się w niej dziedziczną. Podobnie dzieje się z obieranymi w poszczególnych gminach hrabiami, panami lub wojewodami. Potężniejsi królowie jednoczą pod swoją władzą znaczniejszą ilość gmin i plemion. Każde plemię, każda gmina ma swoje prawo obyczajowe, niepisane — bo i poco, skoro wszyscy członkowie ludu mają je z ojca na syna, i podług tego obyczajowego prawa lud sądzi. Lecz królowie wydają nowe prawa dla całego swego państwa, dla wszystkich plemion, do niego włączonych. Są to prawa pisane, nieznane, obce ludowi, on podług nich by sądzić nie mógł; sądzić więc zaczynają urzędnicy królewscy.

Z początku istnieją dwa rodzaje sądów obok siebie; sprawy, objęte prawodawstwem królewskiem, sądzą sędziowie królewscy, namiestnicy króla, inne sprawy — podawnemu zebranie gminne. Lecz namiestnikom królewskim, hrabiom, wraz z bogactwem i potęgą przychodzi ochota wyzyskiwania i uciskania ludu, a dopóki lud cały ma sądy w swych rękach, dotąd nie jest to w zupełności możliwe. Z drugiej strony, ogół ludności, pod wpływem pobieranych danin i wojen, biednieje coraz bardziej i traci na duchu, traci pamięć i poczucie swych praw; dawniej stawić się na sąd było dla każdego człowieka wolnego obowiązkiem; teraz obowiązek ten zaczyna być uciążliwy. Z tego korzysta król i namiestnicy, żeby zaprowadzić taką zmianę, że sądy w gminie odprawują nadal nie wszyscy obywatele, lecz tylko pewna ograniczona ich ilość. W jednych miejscach ci sędziowie są jeszcze przez dłuższy czas obieralni, w innych — godność ta staje się dziedziczną w pewnych rodzinach, gdzieindziej wreszcie — sędziów wprost mianuje król lub namiestnik. Sądzą oni pod jego kierownictwem,

*) Ciekawsi i mający więcej czasu i przygotowania naukowego mogą w celu zapoznania się z tą kwestyą czytać: Fr. Engelsa „Początki cywilizacyi“ i M. Kowalewskiego „Zarys początków i rozwoju rodziny i własności“, a także K. Gorzyckiego „Zarys historyi chłopów w Polsce“.

a więc on zdobywa sobie główną władzę sądową, oni zostają tylko doradcami — ł a w n i k a m i. Sprawy zaś, należące do sądu królewskiego, sądzi sam król parę razy do roku, ale w otoczeniu swoich nadwornych urzędników i rycerzy. Jest to jakby dawniejsze zebranie obywateli zbrojnych, tylko że nie biorą w niem już udziału, nie mają głosu wszyscy członkowie ludu, tylko bogaci i potężni — arystokracya.

Z początku ci uczestnicy s e j m ó w mają głos tylko doradczy zarówno w sprawach politycznych i prawodawczych, jak sądowych, a rozstrzyga zawsze wola króla, bo od niego są wszyscy zależni Ale z czasem arystokracya urzędnicza uniezależnia się od króla, staje się f e o d a l n ą, to znaczy, że z każdym urzędem związana jest dziedziczna posiadłość ziemska (lenno, f e u d u m), otrzymana od króla; mając w niej źródło swej potęgi i bogactwa, pan staje się niezależnym od króla. Wtedy i na sejmach wola króla przestaje być rozstrzygającą, a rozstrzyga wola większości albo też wszystkich zebranych panów, tak w sprawach politycznych, jak sądowych. (W Polsce sejm, czyli zebrania szlachty, i senat, zgromadzenie najwyższych urzędników, zachowały zawsze najwyższą władzę sądową).

W ten sposób klasa panująca, szlachta feodalna, wyjęła władzę sądową, zarówno jak polityczną, prawodawczą, z rąk ludu, zarówno jak króla, i wzięła ją w swoje ręce, aby zapewnić sobie panowanie. Ale sejmy sądziły tylko sprawy między najwyższą szlachtą, panami, mającymi lenna wprost od króla, a więc — równymi sobie. Ci panowie z kolei dawali ziemię w lenno innym rycerzom, i tak dalej, czasem aż do siódmego stopnia. Rycerz, przyjmujący lenno, przysięgał wierność swemu panu, był mu zatem podwładny, nierówny i nie mógł wołać go przed sąd sejmu królewskiego. Sprawy między lennikami jednego i tego samego pana oraz między jednym z nich a panem rozstrzygał sąd lenny, złożony z samych lenników, zbierających się na dworze pana pod jego przewodnictwem. (W Polsce ten porządek lenny nie rozwinął się tak, jak w Europie zachodniej, szlachta drobniejsza nie brała gruntu od wielkich panów wzamian za przysięgę na wierność, lecz prawnie „szlachcic na zagrodzie był równy wojewodzie“, to też utrzymały się jedne dla wszystkich sądy szlacheckie: sejmowe, wojewódzkie, grodzkie). — Wreszcie panowie feodalni, w miarę tego jak osłabiała się władza królewska, przywłaszczali sobie prawo sądzenia i karania śmiercią nawet wszystkich przestępstw, popełnianych na przestrzeni ich panowania. Chłopi zostali zamienieni przemocą na poddanych, i był czas, kiedy każdy pan feodalny, a w Polsce każdy szlachcic, miał nad nimi prawo sądu i kary; ich własne, dawne, wolne sądy zostały zniesione. Miasta zakładali królowie i potężniejsi książęta i dawali im przywilej własnego sądownictwa, które było wykonywane przez wójta i ławników.

Tak było w wiekach średnich. Panująca wówczas klasa feodalna uciska i wyzyskuje lud i mieszczaństwo. Mieszczaństwo, bogacąc się staje się oporniejszem i dla stłumienia samowoli feodałów łączy się z królami, popiera ich pieniędzmi. Królowie z początku opiekują się

miastami, bronią je od samowoli feodałów i przy ich pomocy zwyciężają coraz więcej tych ostatnich, wzmacniają swoją władzę, aż w końcu, szczególniej we Francyi i w różnych państwach niemieckich władza królewska staje się niemal nieograniczona. W miarę tego feodałowie zaczynają tracić i swą władzę sądową, a sądy coraz powszechniej sprawowane są przez uczonych prawników, mianowanych z ramienia królewskiego. Powstaje cała organizacya urzędniczo-sądowa: sądy niższe, t. zw. pierwszej instancyi, średnie i najwyższe, do których w wielu sprawach można apelować czyli odwołać się od wyroku niższych sądów. Ale władza królewska, wzmocniwszy się, zaczęła z kolei uciskać i mieszczaństwo, dla którego to było tem dotkliwszem, że ciągle wzrastało ono w siłę ekonomiczną, materyalną i było wskutek tego coraz żądniejszem władzy. Tymczasem władzę tę powierzała monarchia właśnie szlachcie feodalnej, która straciła samodzielność i poddała się monarchii. Mieszczaństwo, burżuazya, rozpoczęło tedy walkę z monarchią i ze szlachtą feodalną. Walka ta stworzyła wielki ruch umysłowy i społeczny XVII i XVIII stuleci i rewolucye: angielską w środku XVII i francuską w końcu XVIII wieku.

Ruch ten umysłowy i polityczny ogarnął i sądownictwo. Ponieważ, jak wspomnieliśmy, sędziami byli i mogli być tylko uczeni prawnicy, więc w ich liczbie nie znajdowała się wysoka arystokracya, która nie potrzebowała i nie chciała się uczyć, tylko przeważnie drobna szlachta i dość wielu synów mieszczańskich. Drobna szlachta skłaniała się ku nowym ideom mieszczańskim. Dlatego też stan sądowy, szczególniej w ciągu w. XVIII we Francyi, zajmuje stanowisko dość opozycyjne względem rządu królewskiego. W celu obrony tego stanowiska, wytwarza się wtedy teorya podziału władz na: prawodawczą, wykonawczą i sądową; podług tej teoryi każda z władz tych ma być oddzielona od innych, pełniona przez innych ludzi i w swoim zakresie niezależna. Naturalnie, rząd powinien wykonywać tylko to, co władza prawodawcza ustanowi, sąd sądzić tylko podług istniejących praw, ale ani prawodawca ani rząd nie powinni krępować sądu w stosowaniu tych praw. Sędzia powinien sądzić jedynie podług swego sumienia, nie oglądając się na życzenia rządu. Aby to było możebne, powinien być o tyle niezależny od rządu, żeby nie drżeć co chwila o swoją przyszłość; rząd nie powinien mieć możności odebrania sędziemu jego urzędu wbrew tegoż woli. Jest to zasada nieusuwalności sędziów, która w Anglii została wprowadzona już w r. 1701. Jeśli do niej dołączymy jeszcze takie zasady, jak: jawność sądu, procedura ustna, obecność obrońcy (adwokata) dla każdego oskarżonego bez wyjątku, przedstawienie oskarżonemu i jego obrońcy wszystkich dowodów, świadectw i danych, mogących mieć wpływ na sprawę — to będziemy mieli całość ideału sądownictwa, wytworzonego przez ruch reformatorski burżuazyi.

Musimy jeszcze tylko dodać: udział sędziów nieurzędowych z pomiędzy ludności, t. zw. sędziów przysięgłych. Instytucya ta bierze swój początek w Anglii. Tam od bardzo dawnych, średniowiecznych czasów, gdy naczelnik okręgu (szeryf) objeżdżał okręg swój

w celu sprawowania sądów, w każdej gminie musiało być 12 ludzi, rycerzy lub przynajmniej ludzi wolnych, wybranych, którzy czuwać mieli nad tem, co się dzieje w gminie, wymieniać szeryfowi przestępców i zarazem wypowiadać o nich prawdziwe słowo (vere dictum), zdanie, podług którego potem wypadało rozporządzenie szeryfa co do kary. Ten stary zwyczaj oddał później mieszczaństwu i drobnej szlachcie angielskiej wielką przysługę w jej walce z absolutyzmem; sądy te bowiem, złożone z obywateli, mogły uniewinniać ludzi, niewinnie prześladowanych przez tyraniczne rządy. Coprawda, i czynność takiego sędziego nie była zupełnie bezpieczna: co też przyczyniło się do tego, że zamiast wybierać, zaczęto ich wylosowywać, i że wylosowanemu nie wolno było się uchylić od tego obowiązku. W Anglii do skazania oskarżonego wymagana jest jednomyślność przysięgłych. Instytucya ta w ciągu wieku XIX, wraz z zwycięstwem reformatorskich dążeń mieszczaństwa (albo z naśladowaniem reform liberalnych, jak w Rosyi) przeniosła się do wszystkich państw europejskich, pomimo fanatycznego często oporu wsteczników.

Ale też jest to jedyna forma, w jakiej społeczeństwo mieszczańskie zapewnia ogółowi choć pewien wpływ na sądownictwo. Widzieliśmy, że zasada nieusuwalności sędziów i niezależności sądownictwa od woli rządu były koniecznie potrzebne mieszczaństwu do zawładnięcia sądownictwem; ale też i wystarczały mu one do tego, wobec tego, że ogół sędziów składał się z mieszczan albo przynajmniej z przychylnej im drobnej szlachty. Jednakowoż rewolucya francuska, do zrobienia której mieszczaństwo potrzebowało koniecznie pomocy mas ludowych i która w skutek tego miała charakter daleko bardziej demokratyczny, niżby to odpowiadało interesom samego mieszczaństwa, wprowadziła inną zasadę. Podług konstytucyi z roku 1791 sędziowie byli wybierani przez lud, tak samo jak posłowie do zgromadzenia prawodawczego, jak urzędnicy administracyjni, w imię zasady ogólnej, że wszelka władza powinna pochodzić od ludu. Ale niedługo to trwało — jak niedługo trwała rewolucya. Burżuazya powstrzymała jej zapędy, rozpoczęła reakcyę przeciw dążeniom mas ludowych, a narzędziem tej reakcyi był, jak wiadomo, Napoleon Bonaparte. Konstytucya z r. VIII (1799), która jego ogłosiła pierwszym konsulem, zniosła zarazem obieralność sędziów, zarówno zresztą jak urzędników, a nawet w gruncie rzeczy i członków ciał prawodawczych, bo podług tej konstytucyi nawet ci ostatni byli mianowani przez rząd z pomiędzy wielkiej listy kandydatów, wybranych przez lud.

Od tego czasu — wybieralność sędziów pozostała w programach skrajnych demokratów i od nich przeszła do socyalistów, ale burżuazya jej stanowczo nie chce. Burżuazya rozumie doskonale, że w razie wprowadzenia wybieralności sędziów, prawo wybierania ich musiałoby być nadane wszystkim obywatelom, nie zaś jakiejś ich drobnej części, a tego lęka się ona, żeby sędziami wówczas nie zostawali ludzie, którzy by nie bronili gorliwie przywilejów bogaczy przeciwko wyzyskiwanym i właścicieli przeciw wywłaszczonym. Dlatego też wytacza przeciwko wybieralności sędziów różne argumenty, a przedewszystkiem ten, że

sędzia straciłby wtedy swoją niezależność, stałby się zależnym od walki partyi, reprezentowałby zwycięskie stronnictwo, a więc sądziłby stronnie; również znikłaby nieusuwalność sędziów, ogłaszana dotychczas za konieczny dogmat, — chyba, żeby wybór był dożywotni, a tego przecie socyaliści nie chcą.

Lecz argumenty te nie wytrzymują krytyki. Przedewszystkiem, trzeba być naiwnym, żeby nie widzieć, że dzisiaj, w dzisiejszem klasowem społeczeństwie, żaden sędzia nie może być we wszystkich wypadkach doskonale bezstronnym, ponieważ każdy z położenia swego społecznego, wychowania, stosunków, interesów, należy do pewnej klasy i (choćby nieświadomie) postępuje w myśl potrzeb swej klasy. Łatwo burżuazyjnym prawnikom mówić o niezależności i bezstronności sędziów, kiedy wszyscy sędziowie dzisiejsi bez wyjątku należą do klasy burżuazyjnej i prawie bez wyjątku z całą bezwzględnością stają zawsze po stronie bogaczy, możnych i kapitalistów przeciwko ludowi pracującemu! Nawet sądy przysięgłe mają ten sam charakter; chociaż bowiem członkowie ich są wylosowywani, ale przedtem układana bywa lista tych, z pomiędzy których się losuje; lista ta układana bywa przez władze sądowe lub administracyjne, i przy układaniu zawsze stosowana bywa zasada, żeby do losowania dopuszczać tylko ludzi, posiadających jakie takie stanowisko i majątek, a proletaryusze, robotnicy są zupełnie wykluczeni. Wprowadzenie wybieralności sędziów miałoby więc w najgorszym razie tylko ten skutek, że zamiast sędziów, uprzedzonych na korzyść klasy posiadającej, dałoby ogół sędziów, uprzedzonych na korzyść klasy pracującej: ponieważ ta ostatnia klasa bez żadnej wątpliwości i tak więcej ponosi krzywd i ciężarów, więc nawet takie uprzedzenie byłoby już sprawiedliwszem od tych uprzedzeń, jakiemi przejęci są dzisiejsi niewybieralni sędziowie. Ci ostatni zresztą, nie dość, że przejęci są ogólnem uprzedzeniem na korzyść klasy posiadającej, ale i względem każdorazowego rządu nie są bynajmniej tak niezależni, jak to głosi burżuazyjna teorya. Posiadają wprawdzie nieusuwalność, czyli nie mogą otrzymać dymisyi, kiedy się rządowi podoba; ale cóż, kiedy oni nietylko chcą nie otrzymać dymisyi, ale chcą też awansować, i to jak najszybciej; dopóki więc nie dojdą do najwyższych stanowisk, starają się niczem nie narazić rządowi; a ci, którzy tam dochodzą, są już tak przyzwyczajeni przez całe życie do pomagania rządowi — i tacy starzy!

Tymczasem gdzieniegdzie istnieje już wybieralność sędziów, a mianowicie: w nawskroś demokratycznej Szwajcaryi i w Stanach Zjednoczonych Amer. Półn., gdzie wybierani bywają na pewien przeciąg czasu, od 2 do 21 lat, najczęściej na 8 lub 10 lat. Wybieralność sędziów istnieje również w trybunałach handlowych i w sądach przemysłowych (sprawy między przedsiębiorcami a najemnikami)*); i nigdzie w tych

*) W Królestwie Polskiem mamy wybieralnych sędziów gminnych. Rząd carski, wprowadzając po powstaniu samorząd gminny wogóle, chciał kupić sobie chłopów. Trzeba przyznać, że naogół biorąc, chłopi wybierali na sędziów ludzi uczciwych, którzy sądzili dość bezstronnie, choć często zamało uwzględniali ciężkie położenie jakiegoś wiejskiego złodzieja itd. Teraz rząd zaczyna coraz częściej mianować od siebie sędziów gminnych, moskali: — nie ufa już

krajach ani w tych kołach specyalnych, które posiadają sądy wybieralne nie słychać skarg na stronność sędziów ani na żadne nadużycia. U sędziów tych panuje duch bardziej humanitarny, prawa istniejące są stosowane w sposób łagodniejszy i przyjaźniejszy dla ludu pracującego wogóle; ale względami prywatnymi dla tej lub owej jednostki sędziowie wybieralni nie powodują się nigdy, bo przecie nie zależą od jednostek, tylko od całej wielkiej masy wyborców, a względem rządu są już zupełnie niezależni.

Partya socyalistyczna musi się wszędzie liczyć z warunkami i nigdzie nie może gardzić żadną reformą; dlatego i w sprawie reformy sądownictwa w różnych krajach różne musi stawiać żądania najbliższe. Tam, gdzie, jak w Rosyi, sędziowie-urzędnicy ulegają ciągłemu dozorowi ze strony rządu i żandarmeryi, a inteligencya, z której pochodzą, ma pewne popędy szlachetniejsze, należy żądać jeszcze nieusuwalności sędziów, zapewnienia im prawdziwej niezależności od rządu; tam, gdzie niema sądów przysięgłych, jak w Królestwie Polskiem, należy żądać ich wprowadzenia i oddania im wszystkich spraw kryminalnych, nie wykluczając politycznych: wogóle co do sądów przysięgłych należy żądać zupełnej ich demokratyzacyi, dopuszczania do nich i robotników narówni z posiadającymi i „inteligencyą“, i kobiet narówni z mężczyznami*). Ale ogólnem żądaniem partyi socyalistycznej co do sądownictwa może być tylko – wybieralność sędziów. Albowiem tylko ona da klasie pracującej możność, w dzisiejszym okresie walki o poprawienie swego bytu, tak wpłynąć na sądy, aby ulżyć ciężaru i dać więcej sprawiedliwości stającym w sądach biedakom. Tylko też w ten sposób można przeprowadzić w całej pełni zasadę ludowładztwa i zamienić sądy z narzędzia reakcyi na narzędzia obrony wolności i postępu.

I Polska Partya Socyalistyczna, gdy przyjdzie chwila walki z caratem, gdy w każdej okolicy, skąd wypędzone zostaną wojska i urzędy carskie, wprowadzać będzie objęte jej programem reformy, — powoła również lud cały do obioru sędziów. W idealnem społeczeństwie socyalistycznem wreszcie zupełnie nie możemy sobie przedstawić innej organizacyi sądów -- tak samo zresztą i wszystkich wogóle władz i urzędów — jak na podstawie wyborów. Wtedy też upadną wszelkie

---

chłopom. Jest to reakcya. Jedyną złą stroną wybieralności sędziów gminnych jest to, że wybierani są tylko przez chłopów właścicieli (tak samo jak i wójtowie), a nie przez wszystkich mieszkańców. Jeżeli jednak chłopi mogą wybierać sędziów, to pytamy, dlaczego by ich nie mieli wybierać robotnicy i wogóle ludność miejska przecie wyżej rozwinięta od chłopów? — Bo tej się rząd najwięcej boi. — Jeszcze w jednym wypadku istnieje wybieralność sędziów: oto w wojskach: pruskiem, austryackiem i rosyjskiem oficerowie wybierają sądy pułkowe, które za postępowanie, niezgodne z wymaganiami „honoru oficerskiego“, mają nawet prawo dać oficerowi dymisyę. Osobne sądy oficerskie oczywiście nie mają racyi bytu, bo nie powinno być żadnego specyalnego honoru oficerskiego: przestępstwa wojskowe powinny być sądzone przez sądy ogólne; ale jeśli pp. oficerom wolno obierać sobie sędziów, to powinno to prawo być przyznane i ogółowi ludności, który z pewnością nie ma od nich mniej rozsądku i dojrzałości.

*) W Ameryce kobiety już teraz bywają obierane na sędziów i dobrze wywiązują się ze swych obowiązków.

możliwe jeszcze zarzuty przeciwko obieralności sędziów: bo wtedy nie będzie klas i walki klasowej, wtedy wszyscy obywatele będą usposobieni jedni dla drugich jednakowo bezstronnie i posiadać będą wysoki poziom wykształcenia. Społeczeństwo przyszłości nie powróci zapewne do systemu rządzenia przez wszystkich zgromadzonych obywateli, jak to było w demokratycznych społeczeństwach pierwotnych, bo społeczeństwa przyszłe będą na to zbyt ludne; ale faktycznie przez usta sędziów wybieranych sądzić będzie wówczas znowu cały ogół: — oświecona, dojrzała, sprawiedliwa opinia publiczna.

M. Luśnia.

RUCH CZARTYSTÓW W ANGLII.

Jak wiadomo, Anglią rządzi parlament, składający się z dwóch Izb: Izby dziedzicznych Lordów i Izby Gmin, to jest przedstawicieli, wybieranych przez naród na siedem lat. Wiadomo też, że początki parlamentu w Anglii sięgają bez przerwy zamierzchłych czasów z przed tysiąca lat; że monarchia, władza królewska, w tym kraju nigdy nie ustaliła się i nie rozpanoszyła tak, jak w innych krajach, że dzisiejsza konstytucya angielska opiera się na ustawie aż z 1215 r.; że pierwszy parlament, składający się z przedstawicieli i wsi i miast, to jest, poniekąd całego narodu, był zwołany już w 1295 roku; że już przed pięciuset laty obieralna Izba Gmin zaczęła walkę o przewagę nad dziedziczną Izbą Lordów, a przed trzystu laty przewagę tę prawie ostatecznie zdobyła. Dzięki temu wszystkiemu i wielu innym swym porządkom, Anglia słusznie uważaną jest za ojczyznę wolności. Tu też, w Wielkiej Rewolucyi Angielskiej 1649 r., zrodziły się i stąd przeniosły się do Francyi idee demokracyi, które pożar Wielkiej Francuskiej Rewolucyi 1789 roku rozniósł po całym świecie.

Ale pomimo tego, w końcu XVIII wieku w Anglii mniej ludzi miało prawo głosu przy wyborach, a więc prawo do udziału w rządach krajem, niż w ówczesnej Polsce. Wogóle zaś prawo wyborcze było w Anglii sto lat temu w najokropniejszym nieładzie: były miejscowości z powszechnem głosowaniem, w innych miejscach prawo wyborcze było przywilejem drobnej garsteczki lub kilku zaledwie osób, wiele miast ważnych (ale nowszych) nie miało wcale przedstawicieli w parlamencie, w innych — starych (ale podupadłych) miasteczkach — mogło się zdarzyć, że jeden mieszkaniec miał prawo sam od siebie wysyłać posła i t. d. Ogólnym skutkiem tego bezładu stało się, że parlamentem trzęśli i narzucali mu posłów według swego uznania — po wsiach i miasteczkach wielcy posiadacze ziemscy, a najgrubsi bogacze — hurtowni kupcy i bankierzy — w większych miastach. Porastająca w pierze nowsza

burżuazya przemysłowa była prawie zupełnie pozbawiona wpływu na wybory, a masy ludowe — całkiem z praw wyzute. W połowie więc XVIII wieku obie te warstwy ludności wyruszyły zgodnie do walki o prawa polityczne.

Walka rozpoczęła się w imię **powszechnego** głosowania. Lud — przeważnie miejski — poszedł do boju z zapałem i nie szczędził ofiar. Szeregi armii, walczącej o prawa polityczne, składały się wyłącznie z drobnomieszczaństwa i proletaryatu; z tych też klas społeczeństwa rekrutowali się i pomniejsi przywódcy — podoficerowie i oficerowie ruchu. Ale główny sztab armii stanowiła burżuazya przemysłowa. Sądziła ona szczerze, że interesy jej a interesy robotników są te same; wierzył w to i lud pracujący. Rrzeczywistość jednak pokazała co innego.

Prawie 60 lat upłynęło w walkach niemal nieustannych, w demonstracyach, napadach ulicznych na ministrów i nawet na króla, w spiskach i zamachach, w szykowaniu się do walki barykadowej, w planach i próbach powstańczych. I oto w 1832 roku wybiła nareszcie upragniona godzina reformy. Reforma wyborcza stała się faktem, prawa wyborcze uporządkowano i ujednostajniono w całej Wielkiej Brytanii. — Ale uporządkowano je na korzyść wyłącznie burżuazyi. Z 6 milionów dorosłych mężczyzn otrzymało prawo wyborcze zaledwie 800 tysięcy zamożniejszych.

* * *

Na razie coprawda lud był zadowolony ze skutków; pewny był bowiem, że burżuazya dotrzyma swych obietnic i, wszedłszy do parlamentu w potężnej liczbie, szczerze zakrzątnie się koło zadowalniania politycznych i ekonomicznych potrzeb ludowych. Jednak zamiast praw i chleba nowy, zreformowany, parlament dał odrazu ludowi — baty w postaci nowego — daleko gorszego — prawa o ubogich.

Od początku XVII wieku istniała w prawach angielskich zasada, że każda parafia (gmina) ma obowiązek opiekowania się swoimi ubogimi. Na tej zasadzie władze gminne rozpisywały (i rozpisują do dziś) specyalne podatki na wszystkich chociażby trochę zamożniejszych mieszkańców gminy i sumy w ten sposób zebrane używają na wsparcia dla ubogich lub poprostu na utrzymywanie ubogich w specyalnych domach przytułku. Im więcej jest ubogich, tem więcej wynoszą podatki. A w końcu XVIII wieku z rozpanoszeniem się wielkiego przemysłu, z nieodłączną od niego ruiną drobnego rzemiosła, z drożyzną zboża, z rosnącym w skutek ustawicznych wielkich wojen ciężarem podatków — rosła w Anglii w miastach, a zwłaszcza w gminach wiejskich nędza, rosła i ilość ubogich. Uboga ludność, opierając się na odwiecznem swem prawie do wsparcia, domagała się pomocy od władz gminnych. Władze ustępowały pod naciskiem, i z końcem XVIII wieku ustaliła się zasada, że każda uboga rodzina mogła dostać pomoc od gminy tem większą, im droższym był w tym czasie chleb, i im więcej nieletnich dzieci liczyła taka rodzina. Nie działało to zbyt dobrze na ludność

pracującą, bo zamiast walczyć o lepsze warunki płacy z przedsiębiorcami (na wsi mianowicie z dzierżawcami majątków ziemskich) robotnik wiejski wolał pokładać swe nadzieje na „dobroczynność“. Korzystali z tego i wyzyskiwacze, świadomie płacąc najemnikom płace niemożliwie nizkie, i ufając w to, że resztę środków, niezbędnych do życia, da parobkom gmina. Opowiadają o pewnej wiosce w hrabstwie (prowincyi) Buckinghamshire, gdzie cała ludność z wyjątkiem księdza poszła do przytułku dla ubogich i zamieszkała w nim na stałe. Opowiadają nie stworzone rzeczy o piwie, które popijali, o pieczeniach, które zajadali ubodzy w takich przytułkach. Dużo w tych opowiadaniach jest zapewne przesady, i bez wątpienia — jak już powiedzieliśmy — liczenie na „dobroczynność“, zamiast walki z przedsiębiorcami o lepsze warunki, nie wychodziło na dobre robotnikom angielskim. Ale bądź co bądź stare prawa o ubogich łagodziły najokropniejsze objawy nędzy, łagodziły los nędzarzy, a zato mocno doskwierały warstwom zamożniejszym, płacącym podatki na ubogich.

I oto nowy zreformowany parlament, w którym większość stanowili posłowie liberalni, a władza była w rękach liberalnych ministrów, ten parlament, o który lud walczył tak długo, zaczął swe rządy od wydania praw w obronie — płacących podatki na ubogich, a ku zgnębieniu tych właśnie ubogich, wydziedziczonych... Zakazano dawać jakiekolwiek wsparcie ubogim, mieszkającym w domu; pędzono każdego, kto potrzebował pomocy od gminy, — do przytułku. A z przytułków zrobiono prawdziwe „Bastylie proletaryatu“, coś gorszego od zwykłych więzień: zaprowadzono żywność jak najgorszą i w jak najmniejszych porcyach; po prostu zaczęto ubogich głodem morzyć; nakazano rygor jak dla zbrodniarzy; rozdzielano rodziny, murem odgradzając dzieci od rodziców, a nawet staruszkę żonę od zgrzybiałego męża...

Cały proletaryat angielski zawrzał niesłychanem oburzeniem. A nie brakło i innych, chociaż drobniejszych powodów do oburzenia na ów zreformowany parlament. Liberali, przedstawiciele przemysłowej burżuazyi, skoro przyszli do władzy, zrozumieli przeciwieństwo swych interesów z interesami proletaryatu. Związki zawodowe robotników dla walki głównie o lepszą płacę, chociaż uprawnione już w 1824 roku, po dawnemu, a nawet bardziej jeszcze, niż poprzednio, traktowano podejrzliwie, a ich działaczy — za najmniejsze wykroczenia przeciwko prawom ścigano z nieludzką okrutnością. Stowarzyszenia spółdzielcze robotnicze, sklepy spożywcze itp. szykanowano, bo widziano w nich objawy zaczynającego się pod wodzą Roberta Owena ruchu socyalistycznego. Prasa po dawnemu jęczała pod ciężarem wygórowanych podatków zarówno na papier wogóle, jak specyalnie na gazety. Wychodziło już sporo gazet „nielegalnych“, to jest, wydawanych potajemnie dla niepłacenia podatku. Gazety te wzywały do walki z rządem, który podatkami tamował dostęp oświaty do mas. Wreszcie nie brakło i różnych „znachorów społecznych“, jakim naprzykład był Attwood, którzy w burżuazyjno-reformowanym parlamencie nie znajdowali posłuchu dla swoich mrzonek, a spodziewali się, że dalsze rozszerzenie prawa wyborczego, wejście ludowych posłów do parlamentu dałoby im możność urzeczy-

wistnienia swych pomysłów. Attwood rzeczywiście miał wpływ na niewykształcone masy, i dlatego warto tu nadmienić, na czem plan jego polegał. Oto sądził on, że nędza ludowa pochodzi z braku pieniędzy w kraju i proponował dla zaradzenia temu... drukować jak najwięcej pieniędzy papierowych. Był to pomysł dziecinny, ale wpływał na masy, pobudzając je do walki o udział w rządach krajem, który by umożliwił uchwalenie odpowiednich praw o pieniądzach papierowych.

Dodajmy do tego wszystkiego ogólne opłakane położenie ekonomiczne ludu angielskiego, na które burżuazyjny parlament nie miał i nie chciał szukać żadnej rady. W roku 1837 — w pięć lat po burżuazyjnej reformie wyborczej — znowu widzimy w Anglii powszechny kryzys przemysłowy: bankructwa, brak pracy. W dodatku na ten rok przypada straszny nieurodzaj, widzimy więc nędzę w najostrzejszej postaci. W tym samym roku liberalny rząd ustami najwybitniejszego ówczesnego ministra, Lorda J. Russella, oświadczył, że o żadnych dalszych reformach, o rozszerzeniu prawa wyborczego mowy być nie może. Odpowiedzią na to bezczelne oświadczenie było wielkie zebranie ludowe w jednej z sal londyńskich, które wywiesiło sztandar czartyzmu.

* * *

Pół stulecia walki na współkę z burżuazyą, chociaż zakończone zwycięstwem tylko burżuazyi, nie przeszło bez rezultatów pożytecznych i dla proletaryatu angielskiego. Zaprawił się on w ciągu tej walki do działalności zorganizowanej i wybudował sobie szereg organizacyi: kształcących, ogólno-politycznych i specyalnych. Do tego ostatniego rodzaju organizacyi należało „Londyńskie Towarzystwo Robotnicze dla zapewnienia taniej (to jest, wolnej od specyalnych podatków) i uczciwej prasy“. To właśnie Towarzystwo zwołało owo zebranie, od którego datuje się początek czartyzmu.

Zebranie odbywało się w imię potrzeby dalszej reformy wyborczej, reformy parlamentu takiej, która by zapewniła ludowi możność kierowania krajem zgodnie z interesami klas pracujących. Na tem zebraniu sekretarz towarzystwa, czeladnik stolarski, William Lovett, przedstawił zgromadzonym program najpilniejszych żądań. Program składał się z sześciu punktów następujących: 1) powszechne głosowanie przy wyborach do parlamentu — zamiast panującego wówczas przywileju dla zamożnych; 2) zniesienie warunków majątkowych dla posłów do parlamentu, których wówczas można było wybierać tylko z pośród ludzi mających znaczną własność ziemską (dającą przynajmniej 3.000 rubli w mieście albo 6.000 rubli na wsi rocznego dochodu); 3) wybory do parlamentu — nie co siedm lat, lecz — co roku tak, by posłowie mogli być co rok kontrolowani i pozbawiani godności, jeśli nie zachowują się zgodnie z wolą wyborców; 4) równe okręgi wyborcze, gdyż — pomimo pewnej poprawy pod tym względem, zaprowadzonej przez reformę z 1832 r. — swoją drogą okręgi były jeszcze bardzo nierówne: w niektórych miejscach już 100 wyborców wysyłało 1 posła, w innych —

wybierało go aż 2.500; 5) pensye (dyety) dla posłów do parlamentu tak, by i robotnik, nie mający żadnego majątku, miał możność posłowania; 6) głosowanie tajne zamiast jawnego, które istnieje do dziś w Galicyi, a wówczas i w Anglii istniało i odstraszało niejednego wyborcę od głosowania na człowieka, niemiłego możnym tego świata.

Program ten istotnie zapewniał proletaryatowi możność udziału w rządach kraju. Tak samo więc jak ustawę z 1215 roku, od której datuje się konstytucya angielska, nazywają anglicy „Wielką Kartą Swobód", tak samo ten program nazwano „Kartą Ludową". Od wyrazu „karta" (po angielsku „Czarter") zaczęto zwolenników nowego programu nazywać — czartystami, a cały ruch „czartyzmem".

Ruch się rozpoczął i przybrał odrazu charakter ruchu robotniczego. Już samo Towarzystwo, które ów wiec zwołało, tak zazdrośnie dbało o swój charakter klasowy, że głosować na jego posiedzeniach mogli tylko robotnicy ręczni, ludzie innych fachów mogli być tylko członkami „honorowymi", to jest nie mieli właściwych praw członkowskich. Na członkowskich kartach legitymacyjnych Towarzystwa było wypisane hasło: „Człowiek, który nie wykonywa przypadającej na niego części użytecznej pracy, uszczupla przez to społeczny zapas bogactw i spycha swój ciężar na barki bliźniego". Jednak jeśli przyjrzymy się temu hasłu, to zobaczymy w niem istotnie właściwe każdemu światłemu robotnikowi poczucie godności i obowiązku pracy, ale nie zobaczymy, co jest prawdziwie „pożyteczną pracą". Pod takiem hasłem może się śmiało podpisać również i każdy kapitalista, który swoją pracę — chociażby rabunki giełdowe — za „pożyteczną" uważa. Hasło to — j kkolwiek może być hasłem socyalistów — samo przez się nie dowodzi jeszcze zrozumienia socyalizmu przez głoszących je. I odbieranie praw członkowskich ludziom, nie pracującym fizycznie, też nie jest objawem socyalizmu, to jest, naszego dzisiejszego zrozumienia interesów robotniczych. Dziś robotnicy, w poczuciu swej siły, nie boją się udziału w ruchu „inteligentów". Przeciwnie, cieszą się, gdy i wyzyskiwani albo z losem wyzyskiwanych współczujący pracownicy umysłowi pomnażają szeregi socyalistyczne. Natomiast pierwsi czartyści, odgradzając się ustawą swego towarzystwa od „inteligentów", zarazem chętnie słuchali mów i wskazówek nietylko zwykłych „inteligentów", w czem — jak powiedzieliśmy nie byłoby nic złego. — Słuchali oni jednak i specyalnie szukali nauk i poparcia u politycznych działaczów partyi burżuazyjnych. To też pogarnęli się do nich zrazu wszyscy prawie z ówczesnego rządu niezadowoleni politycy burżuazyjni. Byli między nimi i szczerzy przyjaciele politycznej wolności i równości, ale byli i — inni. W pierwszem zaraz zgromadzeniu wziął udział w roli jakby ojca chrzestnego — wódz partyi irlandzkiej O'Connell, klerykał, nic wspólnego nie mający ani ze sprawą robotniczą ani nawet ze sprawą powszechnej wolności politycznej. On to, jak aktor na scenie, z namaszczoną miną wręczył Lovettowi program czartystów (napisany głównie przez samego Lovetta) i rzekł przy tem: „Oto twa karta, Lovett'cie. Trzymaj się jej i nie zadawalniaj się niczem mniejszem". Wyobraźmy sobie, jakby to wyglądało, gdyby przy zakładaniu partyi robotniczej

w Niemczech udzielał jej uroczystego błogosławieństwa jakiś klerykał polski!

Pod wpływem zgromadzenia londyńskiego i agitatorów, rozesłanych na prowincyę przez Towarzystwo londyńskie, wszędzie poczęły się tworzyć organizacye czartystów. Istniejące zaś oddawna w innych wielkich miastach towarzystwa drobno-mieszczańskie i robotnicze zaczęły się łączyć z czartyzmem i wysyłać ze swej strony agitatorów. Wkrótce zjawiły się i organy dla nowego ruchu, a najwybitniejsze wśród nich stanowisko zajęła „Gwiazda Północna“ (Northern Star), tygodnik kierowany przez najulubieńszego mówcę czartystów, Feargus O'Connora. Dnia 28 maja 1838 roku odbyła się pod gołem niebem w Glasgowie pierwsza olbrzymia demonstracya czartystowska. Wzięło w niej udział podobno 200.000 ludzi, a głównym mówcą był Attwood. Wzywał on do żądania praw od parlamentu za pomocą podawania petycyi (próśb), podpisywanych przez jak największą ilość mieszkańców. W razie zaś, gdyby parlament pozostał głuchym na kilkakrotne petycye, Attwood radził rozpocząć strejk powszechny i w ten sposób zmusić rząd do dania ludowi jego „Karty“.

Widzimy tu już ogłoszone obydwa najważniejsze środki czartystów: petycye do parlamentu oraz — strejk powszechny czyli „święty tydzień“ jak chcieli jedni, albo „święty miesiąc“ jak mówili inni. Sam Attwood, a za nim i inni czartyści, mieli o tym strejku bardzo dziecinne pojęcia. Oto jak — nawet znacznie później, bo w 1840 roku — wykładał Attwood szczegóły swego planu, obraz swego „świętego tygodnia“: „Pierwszego dnia (strejku) będziemy na kolanach zasyłali strzeliste modły do Boga, by pobłogosławił naszej słusznej sprawie. Drugiego — będziemy sobie nawzajem składali uroczyste przysięgi, iż nie zaprzestaniemy legalnych (to jest pokojowych) usiłowań, zanim parlament nie da nam „Karty“. Trzeciego dnia będziemy obchodzili wszystkich, mających prawo głosu przy wyborach do parlamentu, i nakłaniali ich do solidarności z nami. I tak spędzimy resztę tygodnia, którego pamięć na wieki żyć będzie w historyi“. O utarczkach z władzami, o wybuchach rozpaczy olbrzymich tłumów, nie mających pracy i chleba, o walkach z wojskiem, które napewno na ów czas rozstawionoby obozem w dzielnicach robotniczych, o aresztowaniach przywódców — o tem Attwood nawet nie pomyślał. Gdy zaś na tem samem zebraniu w Glasgowie wyliczał on wrogów czartyzmu, to mówił: „Przeciwko nam stoi cała arystokracya, dziewięć dziesiątych drobnej szlachty, znaczna większość duchowieństwa i wszyscy darmozjadzi urzędnicy, żyjący jak pijawki z ludu“. Zapomniał zupełnie o świeżo dopuszczonej do steru rządów burżuazyi, która najpodejrzliwiej patrzyła na nowy ruch ludowy.

* * *

I na razie wydawać się mogło, że z tej strony niema niebezpieczeństwa dla czartystów. Zależny od burżuazyi naczelnik policyi w Glasgowie ułatwiał demonstrantom pochód i nie mógł się nachwalić porządku, w jakim się demonstracya odbyła. Na następującej potem

demonstracyi w Londynie inny dygnitarz burżuazyjny, burmistrz Westminsteru, na prośbę Towarzystwa Robotniczego zwołał sam zgromadzenie i przewodniczył na niem. Burżuazya nie mogła odrazu i zbyt gwałtownie zerwać węzłów, które ją łączyły tak niedawno jeszcze (do 1832 r.) z walczącym za wolność ludem. Ale długo taki stan rzeczy nie mógł trwać. Wkrótce, gdy ruch przybrał większe rozmiary, ten sam O'Connell, który był „ojcem chrzestnym czartyzmu", proponował rządowi „swoich" irlandczyków dla zgniecenia buntu. Zupełnie tak samo, jak polscy szlachcice w parlamencie berlińskim, ofiarujący swe usługi dla walki z socyalizmem!

Niestety, czartyści nie zdali sobie tak szybko sprawy ze zmienionego stosunku do ogółu burżuazyi. Winili tylko rząd, nie widzieli poza rządem popierającej go i nawet wprost do czynu popychającej burżuazyi. I dlatego nie rozumieli dokładnie, jak trudnego podjęli się zadania.

Na początku zresztą wszystko szło gładko. Olbrzymie pochody i zgromadzenia pod gołem niebem odbywały się w całym kraju i przechodziły spokojnie. Coprawda naprzykład w Newcastle'u d. 27 czerwca 1838 r. w czasie gwałtownej mowy Feargus O'Connora na placu ukazał się oddział dragonów z armatą i zbliżył się do zgromadzonych, a jeden z oficerów nawet wjechał z koniem w tłum. Jakiś młodzieniec porwał konia za uzdę i wyprowadził z tłumu, wołając zarazem do oficera: „Nie dość, łajdaku, że was utrzymujemy, chcecie nas jeszcze tratować!" Tłum przywitał wojsko okrzykami oburzenia, Feargus O'Connor w obecności dragonów ciągnął dalej swą mowę w ten sposób: „Żałuję, że wy, tu zebrani naokoło mnie, nie jesteście w tej chwili w stanie odpowiedzieć na tę zaczepkę jak się należy, i odeprzeć gwałt gwałtem. Niech arystokratyczne szczenięta mają się na baczności, niech nie drażnią ludu i nie przychodzą uzbrojeni na nasze zgromadzenia, bo zobaczą, że pod cywilnemi szatami biją serca nie mniej odważne i poruszają się ręce nie słabsze, niż w mundurach wojskowych!" Nie były to słowa, zdolne zapobiedz starciu, ale na ten raz bez starcia się obeszło.

Nie możemy tu rozwodzić się nad opisywaniem różnych demonstracyi i mów, w których prawie zawsze grożono rządowi powstaniem. Najbardziej jednak imponujące były tak zwane „zebrania z pochodniami". Robotnicy nie mieli czasu chodzić na zebrania pod gołem niebem w dzień; wieczorem w wielu miastach nie było lokalu dość dużego, by pomieścić tłumy garnące się na zgromadzenia. To też jesienią 1838 roku zaczęto urządzać zebrania pod gołem niebem za miastem w nocy, przy świetle pochodni. Trudno sobie wyobrazić, jakie imponujące wrażenie robiły te zebrania. We wszystkich miastach fabrycznych — licho wówczas oświetlonych — tysiące robotników śpieszyły prosto z fabryk i warsztatów, nie umyci, w zabrudzonej i obszarpanej odzieży, do kilku punktów zbornych. Tam ustawiali się w szeregi, brali do rąk pochodnie i szli procesyami za miasto. Przy chwiejących się płomieniach pochodni nad głowami tłumu powiewały sztandary, i raz po raz światło padało na napisy, głoszące „śmierć tyranom".

Na wielu chorągwiach nie brakło i... obrazków trupich głów, sztyletów i t. p. Raz po raz tłum zatrzymywał się przed domem jakiegoś znienawidzonego urzędnika lub kapitalisty, przed redakcyą jakiegoś pisma wrogiego czartystom: wtedy ulica trzęsła się od gromu przekleństw i wymyślań. A gdy pochody przybyły na miejsce, to tłumy z zapałem słuchały mów, wyrażających sympatyę dla buntującej się przeciwko angielskiemu najazdowi Irlandyi oraz dla Kanady, której powstanie niedawno wówczas rząd angielski zdławił; mów, piętnujących rządy burżuazyjno-arystokratyczne, a zwłaszcza nowe prawo o ubogich; mów, wzywających do zbrojenia się i rewolucyi celem zdobycia „Karty Ludowej". A mowy kończyły się często tak, jak zebranie, na którem mówca czartystów, ksiądz Stephens, w końcu zapytał zgromadzonych: „Czy jesteście gotowi?" a odpowiedzią była salwa wystrzałów: robotnicy zbroili się i przychodzili na zebrania z bronią!

Skóra wobec tego zaczęła cierpnąć na burżujach. I oni poczęli się zbroić, a rząd popierał ich w tem, dając darmo broń i amunicyę klubom burżuazyjnym, zakładanym dla „obrony życia i własności". Na tej podstawie i wiele organizacyi czartystów zażądało broni i amunicyi od rządu, ale ma się rozumieć nie dostały nietylko broni, lecz po większej części nawet żadnej odpowiedzi. Natomiast prasa burżuazyjna coraz gwałtowniej domagała się od rządu stłumienia ruchu czartystów. I rząd po niejakiem wahaniu się przystąpił do dzieła, zakazując dnia 12 grudnia 1838 r. zgromadzeń z pochodniami, a gdy zakaz nie pomógł, przystąpiono do aresztowań. Jednym z pierwszych aresztowanych i oddanych pod sąd był Stephens.

* * *

Tymczasem agitacya dała dwa ważniejsze owoce. Po pierwsze, wszędzie podpisywano petycyę, domagającą się „Karty Ludowej", a przedewszystkiem powszechnego głosowania. W petycyi, która zresztą mężnie i rozsądnie uzasadniała prawo ludu do udziału w rządach krajowych, skarżono się, że lud przy istniejących ustawach musi wybierać na posłów ludzi zupełnie nieodpowiednich: „kupców, którzy wycofali się z interesów i nie odczuwają już kłopotów handlu; właścicieli ziemskich, nie znających ani klęsk, które trapią ludność miejską, ani rady na te klęski; prawników, którzy w parlamencie szukają sławy, jako reklamy dla swoich biur adwokackich"... Ani słowa tu niema o sprzecznych interesach robotników a kapitalistów. Przeciwnie, w innem miejscu petycya domaga się rozszerzenia prawa wyborczego na to, by dzięki ustawom, które posłowie ludowi uchwalą: „k a p i t a ł p r z e d s i ę b i o r c y m i a ł n a l e ż n y m u z y s k, a praca robotnika słuszną zapłatę"; na to, „by znikły prawa, w skutek których chleb kosztuje drogo, a p i e n i ą d z e s ą r z a d k i e".

Drugim rezultatem agitacyi było uchwalenie wszędzie zwołania sejmu (konwencyi) czartystów, wybranie delegatów do tej konwencyi i zebranie funduszów do jej rozporządzenia. Zbieranie składek rozpoczęto pierwszego poniedziałku w październiku 1838 roku, a pomimo

że każda organizacya miała własne wydatki miejscowe i musiała sama na własny koszt wysłać delegata do konwencyi, konwencya, która zebrała się w lutym 1839 r. dostała z tych składek przeszło 17.000 rs. Dodajmy tu, że w tym samym czasie na koszty procesu Stephensa zebrano osobno prawie 20.000 rubli, i że wszystkie te sumy szły prawie jedynie z kieszeni proletaryatu lub niezamożnego drobnomieszczaństwa. Burżuazya ku końcowi 1838 roku już wyraźnie wrogo stanęła wobec czartyzmu. Podszczuwając rząd do prześladowania czartystów, jednocześnie działacze burżuazyjni zaczęli inny ruch ludowy — na pozór nie wrogi walce o ludowe prawa wyborcze, ale obliczony na odwrócenie od niej uwagi mas. Burżuazya wywiesiła sztandar walki o zniesienie ceł na zboże. Szło tu przecie o rzecz sprzeczną z interesami tylko właścicieli ziemskich; fabrykanci na zniesieniu ceł zbożowych nie mogli nic stracić, a przeciwnie zyskaliby, gdyby im się udało płacić robotnikom o tyle mniej, o ile tańszym byłby chleb skutkiem zniesienia ceł zbożowych. Czartyści rozumieli coprawda, że i robotnicy na tanim chlebie nie mogą nic stracić, a jeśli nie dopuszczą do zniżki płac, to zyskają (i w rzeczywistości potem zyskali). Ale swoją drogą czartyści słusznie oburzali się na burżuazyę, która hasłem „taniego chleba" chciała odwrócić lud od walki o prawa wyborcze, zapewniające możność zyskania nietylko taniego chleba, ale i innych nie mniej ważnych, lub nawet ważniejszych rzeczy. To też ku końcowi 1838 r. wrzała już walka między czartystami, a apostołami zniesienia ceł zbożowych. W dyskusyach na zgromadzeniach ludowych czartyści wszędzie mieli większość po swej stronie.

* * *

W takiej to chwili: przy ogniu walki i ze srożącym się już na dobre rządem i z obłudnemi hasłami „taniego chleba", zebrała się w Londynie dnia 4 lutego 1839 r. pierwsza konwencya czartystów. Znaczną część delegatów stanowili robotnicy najubożsi, którzy z własnego doświadczenia opowiadali na posiedzeniach o wyniszczonych przez nędzę rodzinach, o własnych głodem w domu mrących dzieciach... W znacznej części byli to ludzie, których dopiero półtora roku trwająca agitacya czartystów wyprowadziła na widownię publiczną, a jednak mówców, porywających zapałem, siłą rozsądnego rozumowania i nawet pięknością wysłowienia się, nie brakło między nimi. Według zaś świadectwa burżuazyjnego historyka obrady konwencyi pod względem porządku, powagi i wartości przemówień stały wyżej od obrad jednocześnie z nią zasiadającego parlamentu Anglii.

Na konwencyi zgromadził się kwiat proletaryatu i uboższego drobnomieszczaństwa. Ludzie ci przyszli prosto z rozognionych zgromadzeń ludowych, przyszli rozjątrzeni rozpoczętemi prześladowaniami rządowemi, ale w głębi serc swych nie wierzyli, by rząd śmiał stale trzymać się polityki prześladowań i — jak to już zaznaczaliśmy — nie rozumieli, jak nieprzebłaganego wroga mają w burżuazyi. Znacznej części ich zdawało się, że wystarczą hałaśliwe pogróżki, by w proch

obrócić „jerychońskie mury“ dotychczasowego ucisku Śpieszyli więc z uchwalaniem środków bardzo energicznych, nie bardzo się licząc z tem, czy siły pozwolą na ich stosowanie.

Środków takich wymieniono cztery: 1) wycofywanie pieniędzy z rządowych kas oszczędności, oraz powstrzymywanie się od picia trunków, obłożonych podatkiem, na to by rząd ogołocić z funduszów, potrzebnych do walki z „buntem“; 2) kupowanie tylko u handlarzy, współczujących z czartyzmem, to jest, bojkotowanie kupców, nie popierających ruchu; 3) kupowanie broni i ćwiczenie się w jej władaniu; 4) „święty miesiąc“, to jest, strejk powszechny. Pierwsze dwa środki wskazują na to, jak ściśle czartyzm był połączony jeszcze z drobnomieszczaństwem: wszak wycofywanie pieniędzy może być praktykowane tylko przez tych, co mają — chociażby drobne — oszczędności, a o tem większość proletaryatu, zwłaszcza wówczas, nawet marzyć nie mogła; projekt bojkotu handlarzy, obojętnych dla czartyzmu, wskazywał też na to, iż liczono na pozyskanie dla swej sprawy znacznej części tych handlarzy. Przytem bojkot, jak również strejk powszechny, możliwe są tylko przy istnieniu szerokiej i silnej organizacyi. A liczne towarzystwa czartystów już z powodu krótkiego istnienia nie mogły się zahartować i nabrać należytej sprężystości, prócz tego zaś brakło ścisłego związku między niemi. Zbrojenie się też nie było najłatwiejszem do wykonania, ale tu trudności zbyt są jasne, by o nich mówić warto było, z drugiej zaś strony wiadomo, że dla ludu, pozbawionego praw politycznych, innego środka ostatecznego, jak walka orężna, niema.

Ale — jak powiedzieliśmy — ci, co stawiali takie projekty, przeważnie nie bardzo myśleli o ich wykonaniu. Dość chętnie więc zgodzili się na zdanie umiarkowańszych delegatów, by konwencya sama tych środków nie uchwalała, lecz wpierw spytała się o zdanie ogółu czartystów w kraju. W tym celu wyznaczono na drugi dzień Zielonych Świątek zgromadzenia w całej Anglii, a członkowie konwencyi rozjechali się po całym kraju, by wziąć w zgromadzeniach udział i przedstawić owe projekty ogółowi.

* * *

Zgromadzenia odbyły się. Znowu słychać było wszędzie gwałtowne mowy, ale przeważnie ubierane w takie zwroty, by nie dawać powodu do wkraczania władz. Tak naprzykład w Glasgowie w obecności 130.000 ludzi Richardson mówił: „Nie radzę wam masowo wycofywać pieniądze z tych banków, bo taka rada byłaby przeciwną prawu. Ale radzę wam zobaczyć, czy wasze pieniądze są w porządku“ itp. Nawet przy najgwałtowniejszych ruchach taka Anglia, a zresztą i inne kraje cywilizowane, rządzone są przez prawa. A trzymając się litery prawa, można zrobić wiele przeciwnego zamiarom tych, co te prawa dla utrzymywania dzisiejszych „porządków społecznych“ ustanowili. Nawet w podobnych wypadkach, gdy już lud decyduje się na łamanie prawa, jest on tam w położeniu wygodniejszem, niż w Rosyi, gdzie rząd z prawem nie potrzebuje się liczyć.

Nie wszędzie jednak zachowywano taką ostrożność w wyrażeniach, to też przez całe lato to tu to ówdzie aresztowywano czartystów. Gdy zaś delegaci konwencyi zjechali się na nowo d. 1 lipca — na ten raz w Birminghamie — to z różnobrzmiących ich sprawozdań trudno było wywnioskować, jakim jest właściwie nastrój ogółu czartystów. Jedno było mniej więcej jasne, że trzeba zaniechać na razie projektu „świętego miesiąca". Wydano atoli manifest, wzywający do użycia innych trzech środków, ale zanim na seryo przystąpiono do wprowadzenia ich w życie, wybuchły d. 8 lipca rozruchy w miejscu posiedzeń konwencyi, w Birminghamie. W skutek rozpędzenia zebrania ludowego i wzięcia do więzienia kilku czartystów wynikły utarczki z policyą i wojskiem. Podpalono domy wrogich ludowi kapitalistów; rozbijano sklepy, ale nic z nich nie kradziono; konwencya wystąpiła ze specyalnym gwałtownym manifestem do ludności Birminghamu, a pomimo natychmiastowego uwięzienia dwóch członków konwencyi (między nimi Lovetta) zgromadzenia odbywały się w dalszym ciągu, i władze nie potrafiły ruchu stłumić. Ale rozjątrzenie z obu stron było tak wielkie, że obrady konwencyi w Birminghamie stały się niemożliwe. D. 10 lipca konwencya zebrała się znowu w Londynie, a d. 12 lipca podano do parlamentu pierwszą wielką Narodową Petycyę czartystów. Petycyę podpisało przeszło milion i dwieście ośmdziesiąt tysięcy ludzi. Pomimo tego i pomimo dzielnej mowy Attwooda (który był członkiem parlamentu), parlament burżuazyjny, 235 głosami przeciwko zaledwie 46, odrzucił nawet wniosek gruntownego jej rozpatrzenia.

* * *

Taki policzek zaskoczył konwencyę widocznie niespodzianie. Zaczęła się chwiać: zaraz 13 lipca uchwaliła strejk powszechny na dzień 12 sierpnia, w parę dni potem uchwałę tę cofnęła. Czas konwencyi upływał na naradach i sporach; a tymczasem w różnych stronach kraju wybuchły rozruchy i utarczki z wojskiem i policyą, aresztowania i procesy sypały się jak grad na niemal wszystkich wybitniejszych działaczy; burżuazyjni przysięgli na sądach szli w swej zaciekłości przeciwko czartystom tak daleko, że aż sędziowie-urzędnicy musieli ich wstrzymywać w imię wyraźnego brzmienia prawa. Czartyści nie tracili jednak ducha, a gdy naprzykład nie mogli się zbierać się gdzieindziej, to schodzili się w kościołach, domagali się tam kazań o sprawie robotniczej i z domów modlitwy robili widownię burzliwych zgromadzeń ludowych. Ale brakło im już ogólnego planu: ruch był z góry obliczony na natychmiastowe zwycięstwo, tymczasem zaś ani burżuazyjny rząd nie myślał ustępować, ani do powszechnego powstania sił nie było.

W takim bezładzie d. 6 września tego samego 1839 r. pierwsza konwencya czartystów rozwiązała się, nie pozostawiając na swojem miejscu żadnego centralnego komitetu do kierowania ruchu. Ruch musiał nadal skupiać się chyba koło redakcyi pism czartystowskich. Niektóre z nich rzeczywiście były potężną siłą, tak naprzykład „Północna Gwiazda" Feargus O'Connora miała 60.000 abonentów. Ale

każda gazeta działała na swoją rękę jako prywatna własność jednej lub paru osób, sam zaś Feargus O'Connor — może najbardziej energiczny i ruchliwy z czartystów — był zarazem człowiekiem niestałym i — jak to mówią — „narwanym“ (istotnie skończył on życie w domu obłąkanych).

W dwa miesiące po rozejściu się konwencyi d. 4 listopada w małem miasteczku górniczem, Newport, pod wodzą J. Frosta, byłego sędziego pokoju, pozbawionego tej godności za przekonania demokratyczne, czartyści zrobili próbę już prawdziwego powstania. Gromada okolicznych górników, obliczana rozmaicie na jeden do dwudziestu tysięcy ludzi, wkroczyła wczesnym rankiem po całonocnym marszu do miasta i zaatakowała ratusz. Po półgodzinnej utarczce z oddziałem piechoty tłum licho uzbrojony rozproszył się, zostawiając na placu około 60 rannych i zabitych. Frosta i kilkunastu innych uwięziono, 8 skazano na śmierć, ale ułaskawiono i zesłano do Australii (która była wówczas angielskim Sybirem), 14 otrzymało odrazu długie kary więzienne. Próbę tę powstania Frost organizował na własuą rękę, a wielu czartystów — między nimi i zawsze gardłujący za każdym krokiem gwałtownym — Feargus O'Connor — wypierali się z nią wszelkiej solidarności.

Wypadki w Newporcie zakończyły pierwszy okres czartyzmu. Na początku 1840 roku wszyscy wybitniejsi przywódcy ruchu siedzieli już w murach więziennych, a spora garstka płynęła na okrętach do ziemi wygnania, do Australii.

* * *

Okres drugi tego ruchu zaczyna się stopniowo w miarę wypuszczania więzionych kierowników na wolność: pod koniec 1840 i w 1841 r Kary — przeważnie jedno — lub półtorarocznego więzienia nie pozostały bez śladów. Czartyści spędzali czas przymusowej bezczynności na rozmyślaniu nad przyczynami swej porażki. Niestety, młody polityczny ruch robotniczy nie dał im dostatecznego doświadczenia, to też rozmyślania ich doprowadziły po większej części do dziwactw i mrzonek. Jedni wywnioskowali, iż największem nieszczęściem ludu pracującego jest pijaństwo, i postanowili walczyć z alkoholem zamiast z rządem i burżuazyą. Inni wyrozumowali sobie, że należy wlać ducha robotniczego w religię chrześciańską i stali się apostołami drobnych sekt religijnych. Inni jeszcze — stosunkowo ma się rozumieć najrozsądniejsi — wymiarkowali, że proletaryatowi brak jest oświaty i postanowili oddać się jej szerzeniu. Ale i ci — jak Lovett — pod niezbędną dla robotnika oświatą, niestety, rozumieli przedewszystkiem nie tę oświatę polityczną, którą najlepiej zdobywa się w codziennej walce i w organizacyi, tylko różnego rodzaju nauki szkolne, oczywista też pożyteczne, ale dla mas prawie niedostępne, dopóki istnieje dzisiejsze przeciążenie pracą i dzisiejsza nędza. Mieli na myśli wiedzę taką, jaką proletaryatowi zachwalają różni nieproszeni dobrodzieje burżuazyjni widać właśnie dlatego, iż masy z takiej wiedzy korzystać nie mogą. Na jeden z najdziwaczniejszych pomysłów wpadł Feargus O'Connor. Ułożył on plan

uszczęśliwienia ludu przez obdarzenie proletaryatu gruntami do uprawy, plan następujący: zebrać składkami po 25 rubli narazie od dwóch tysięcy członków kapitał 50 tysięcy rubli, kupić za tę sumę grunt, który powinien wystarczyć dla pięćdziesięciu familii i osadzić te familie odrazu na roli; grunta zastawić i za kapitał wypożyczony na ich hypotekę kupić znowu kawał gruntu i t. d. Nie będziemy tu wchodzili w szczegóły, bo dziś każdy od pierwszego rzutu oka zrozumie, iż był to plan do niczego. I dodajmy tu odrazu, że chociaż O'Connor znalazł wielu zwolenników, chociaż wielkie masy uwierzyły w jego projekt, chociaż do kasy towarzystwa ziemskiego O'Connora wpływały przez pewien czas duże fundusze*), a istotnie kilkadziesiąt familii skorzystało z tego planu, to jednak rzecz skończyła się tak, jak musiała się skończyć: bankructwem i niesłusznem zresztą podejrzewaniem O'Connor'a o używanie tych funduszów na własną, osobistą korzyść. Podejrzenia te w kilka lat później zatruły ostatnie chwile burzliwego życia O'Connor'a.

Na razie jednak mrzonki O'Connor'a, jak i innych wypuszczonych z więzienia czartystów miały ten przedewszystkiem zły skutek, że wprowadziły do ruchu spory i kłótnie. Kłótnie o zasady rychło stały się zatargami osobistymi i zasiały niezgodę, której czartyzm nie zdołał wyplenić nigdy. Nie wyplenił jej dlatego, iż masy nie były na tyle wyrobione, by mogły zmusić niesfornych przywódców do liczenia się z wolą ogółu. A tymczasem znani już nam rywale czartyzmu, burżuazyjni apostołowie wolnego handlu zbożem, nie zasypiali gruszek w popiele i korzystali z niesnasek czartystów, by wzmacniać swoje wpływy.

Jednak i w tym okresie czartyzmu nie brak chwil wspaniałych i stron dodatnich. Zyskiem była wybudowana już w r. 1840 organizacya partyjna, obejmująca wszystkie dość luźne dotąd towarzystwa i nosząca nazwę „ arodowego Związku Karty Ludowej". A organizacya ta w r. 1841 wzięła udział wprost już w walce wyborczej.

Wybory w ówczesnej Anglii zaczynały się od publicznego głosowania przez podnoszenie rąk. W takich wyborach na placu publicznym mógł wziąć udział każdy, komu się podobało przyjść, bez względu na to, czy miał prawo wyborcze, czy nie. Dopiero, gdy jakiś kandydat uważał, że obliczenie głosów przez podnoszenie rąk dało krzywdzący go rezultat, zarządzano nowe wybory ze ścisłem sprawdzaniem praw każdego głosującego. Otóż czartyści w bardzo wielu miejscach wzięli udział w wyborach pierwszego rodzaju i wszędzie — z wyjątkiem jednego wypadku (Leeds) — odnosili wielkie zwycięstwa moralne: większość obecnych podnosiła ręce za kandydatem czartystowskim. Były to wspaniałe demonstracye, wykazywały bowiem jasno, że kandydaci, którzy potem zwyciężali przy głosowaniu formalnem, nie byli właściwymi przedstawicielami ludności. W niektórych miejscach czartyści brali udział i w formalnych wyborach, ale wybrani zostali wyłącznie tacy z ich kandydatów, którzy tylko sympatyzowali z czartystami, a właściwie byli członkami partyi liberalnej, Gdzieniegdzie czartyści popierali liberałów,

*) Były tygodnie, że wpływy wynosiły 2.000, a nawet 50.000 rubli.

częściej jednak zdarzało się, że na złość liberałom pomagali konserwatystom. Jednem słowem, wybory 1841 r. bardzo były podobne do wyborów z najnowszych naszych czasów, a rola czartystów w nich była taka sama, jak rola dzisiejszych socyalistów angielskich.

Na wiosnę 1842 r. pod wodzą niejakiego J. Sturge'a powstał wśród burżuazyi ruch, stawiający te same żądania, jakie zawierała „Karta Ludowa". Czartyści nie umieli wyrobić sobie stałego i jednomyślnego poglądu na tę sprawę. Taki O' Connor raz piorunował na Sturge' a, to znowu występował z nim ramię do ramienia. A wśród ogółu czartystów stosunek do reformatorów burżuazyjnych stał się jedną jeszcze kością niezgody.

D. 12 kwietnia 1842 r. zebrała się w Londynie druga konwencya czartystów, która za główne zadanie miała przedstawienie parlamentowi nowej „Petycyi Narodowej". Petycya na ten raz była podpisana tylko przez 33 tysiące osób, a różniła się od pierwszej tem, iż oprócz znanych nam żądań „Karty" zawierała żądanie przywrócenia samodzielnego parlamentu Irlandyi. W parlamencie znowu znalazło się zaledwie 51 posłów, chcących chociażby dłużej nad petycyą obradować. Petycyę więc odrzucono bez żadnych ceremonii. Ciekawem było przytem odezwanie się jednego z posłów, sławnego historyka liberalnego, Macaulay'a. Powiedział on, iż nie ma nic przeciwko „Karcie" z wyjątkiem... głosowania powszechnego, bo ono równałoby się — konfiskacie majątków bogaczy! Burżuazya angielska zdawała sobie jasno sprawę z możliwych skutków zwycięstwa czartystów!

Nowy a nadzwyczaj ostry kryzys przemysłu angielskiego napędził do szeregów czartystów mnóstwo członków. W 1842 r. organizacya partyjna miała oddziały w 400 miejscowościach i liczyła ogółem około 40 tysięcy członków. Ale w sierpniu 1842 r. zaszły wypadki, które znów organizacyi ciężki cios zadały. Były to rozruchy i strejki masowe w północnych okręgach przemysłowych. Nie będziemy tu opisywali tych wypadków szczegółowo, bo podobne ruchy żywiołowe wyglądają choćby naprzykład w dzisiejszej Rosyi tak samo, jak w Anglii przed 60 laty. Pochody strejkujących z jednej fabryki do drugiej, gaszenie ogni pod kotłami parowymi, wypędzanie przemocą z warsztatów niechętnych do strejku, gdzieniegdzie niszczenie maszyn, bicie szyb w mieszkaniach władzy i burżuazyi, wreszcie utarczki z policyą i wojskiem — to obraz, dobrze znany. Czartyści ruchu tego nie wywołali, ale chcieli zeń skorzystać, zorganizować go i rozszerzyć, oraz nadać mu kierunek polityczny. Odnieśli porażkę, i znowu najwybitniejsi przywódcy powędrowali przed sąd i do więzienia.

* * *

Rozwodzić się tu szczegółowo nad późniejszym ruchem czartystów nie możemy. Robota ich szła dalej tymi samymi torami, jakie wyżej staraliśmy się opisać. Ale rosła zarazem siła i niezadowolonych z ceł zbożowych, a nawet i z prawa wyborczego żywiołów burżuazyjnych w partyi liberalnej. A jednocześnie coraz bardziej zacierały się różnice i sprzeczności między czartystami a postępowymi ruchami burżuazyjnymi. Do-

szło do tego, że Feargus O'Connor przemawiał z jednej trybuny z apostołami wolnego handlu i popierał ich swą wymową. To też, gdy przy wyborach w sierpniu 1847 r. czartyści znowu rozwinęli silną agitacyę i odnosili znowu zwycięstwa moralne, gdy nawet Feargus O'Connor został w Northampton wybrany do parlamentu, było to dowodem nietylko liczebnego wzrostu czartystów (między innemi strejki węglowe 1844 roku przysporzyły im podobno 30.000 nowych rekrutów!) — ale i poufałych stosunków z burżuazyjnymi postępowcami. Przecież przy ówczesnem prawie wyborczem Feargus O'Connor wybór swój zawdzięczał — burżuazyi!

Ale ten sam 1847 rok przyniósł Anglii nowy ciężki kryzys przemysłowy, pod koniec zaś tego roku i angielskiemu ludowi zaczęło się udzielać pobudzenie rewolucyjne, w jakie znowu całą Europę wówczas świeżo wprawiło powstanie polskie 1846 r. Jedno z największych i najbardziej ożywionych zgromadzeń ludowych w Londynie było właśnie obchodem ku uczczeniu naszego powstania listopadowego. Czartyści, którzy już nieraz, chociażby swem stałem upominaniem się o prawa Irlandyi i Kanady, dowiedli szczerego przejęcia się solidarnością międzynarodową, nie mogli pozostać nieczułymi na powiew prądów wolnościowych kontynentalnych. Zaczęli znowu przemawiać rewolucyjnie. Na czoło ruchu wysunęła się jedna z londyńskich organizacyi czartystowskich, tak zw. „Bratni Demokraci", — organizacya założona przez J. Harneya, a licząca w swem gronie rewolucyonistów wszystkich narodowości (między innymi i emigrantów polskich). Czartyści wchodzą w ścisłe stosunki i z irlandzkimi spiskami rewolucyjno-patryotycznymi. I na tak przygotowane umysły spada wieść o rewolucyi lutowej w Paryżu.

Czartyści znowu zaczęli mówić językiem z roku 1839 i agitować z zapałem miodowych miesięcy ruchu. Niestety, i w 1848 r. powtórzyła się tu historya 1839 r. I w 1848 r. widzimy pogróżki słowem i demonstracyą, połączone z niemocą czy niechęcią — co zresztą na jedno wychodzi – do prawdziwego powstania. Znowu liczono na to, że pogróżki i demonstracye zastraszą rząd i wywołają ustępstwa. I znowu omylono się w rachubach. Bywały jednak chwile gorące, jak naprzykład wielkie zgromadzenie na placu Trafalgarskim w Londynie dnia 6 marca, gdy tłum po skończonym wiecu ruszył w kierunku pałacu królewskiego, rozbijając po drodze lampy uliczne, okna pałaców i niektóre sklepy. Trzy dni w tych okolicach tłum ucierał się z policyą, ale ostatecznie skończyło się na niczem, jak również bez poważniejszych skutków minęły takie same lub większe rozruchy w miastach prowincyonalnych.

D. 4 kwietnia zebrała się znowu konwencya czartystów i znowu główną sprawą była — (trzecia) petycya do parlamentu. Na petycyę na ten raz zebrano około 2 milionów podpisów. Konwencya postanowiła doręczyć parlamentowi petycyę 10 kwietnia i uchwaliła zanieść ją nie w delegacyi z paru osób, jak dotąd bywało, lecz w olbrzymim pochodzie. Plan ten był sprzeczny z prawem angielskiem, i gdyby rząd dopuścił do jego wykonania, to oczywiście parlament byłby w rękach ogromnych tłumów. Tak podana petycya byłaby zamachem rewolucyjnym. Nie doszło jednak do tego. Rząd ani myślał patrzeć bezczynnie na przygotowania do rewolucyi. D. 10 kwietnia stanął on w pełnym rynsztunku.

Stolicę przepełniono wojskiem, przygotowanem do walki. Ciężką artyleryę ustawiono w wielu punktach miasta. Policyę uzbrojono, a wszystkie budynki publiczne obsadzono siłą zbrojną. Wszystkie parowce na Tamizie (rzeka, przepływająca przez Londyn) przygotowano do przewożenia wojska. Kościoły obrócono chwilowo w istne koszary. Oprócz policyi i wojska 70.000 burżujów, kantorzystów itp. uzbrojono i zaprzysiężono dla obrony zagrożonego „porządku społecznego“. (Między tymi ochotnikami był ówczesny emigrant polityczny, późniejszy cesarz francuski, Napoleon III). Demonstracya 10 kwietnia miała się zebrać na jednym z placów południowego brzegu Tamizy, niezbyt daleko od parlamentu (który leży na brzegu północnym). Obsadzono więc mosty specyalnie silnymi oddziałami policyi i wojska. Pomimo tych przygotowań rządowych od samego rana na wyznaczonym placu zebrało się przeszło sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi, gotowych na wszystko, choć po większej części licho lub wcale nieuzbrojonych.

Ale konwencya, która obradowała od wczesnego ranka, już zwinęła chorągiewkę. Ten sam O'Connor, który zapowiadał, że petycya ta będzie ostatnią, że dni ówczesnego parlamentu są policzone — ten sam gwałtowny mówca zwalał już winę przygotowań rządowych na tych, którzy — niby nie on sam — zapowiadali demonstracyę zbrojną! Gdy konwencya przybyła na plac zgromadzenia, O'Connor zaczął długą, dowcipną i niekiedy płomienną mowę. Zwracał uwagę zgromadzonych, że pomimo niebezpieczeństwa, grożącego mu osobiście, stawił się między nimi. Zamiast wzywać ich do pochodu, oddawał sprawę niby na rozpatrzenie zgromadzonych, zdając się na wolę tłumu. Ale zaraz też zaczął ten tłum przekonywać, że lepiej zawieźć petycyę po dawnemu w parę osób, niż narażać się na rozlew krwi. Zapewniał zresztą, że jeżeli czartyści nie popsują sprawy jakąś porywczością, to petycya będzie napewno uwzględnioną. I taka była potęga tego mówcy, tak czarujący wpływ wywierał on na masy, że tłum wysłuchał go nietylko spokojnie, ale z oklaskami i gorącemi oznakami zgody na jego propozycye.

Petycyę zawiozło paru delegatów. Parlament, który z dreszczem niepokoju czekał na wieści o wypadkach, teraz na widok O'Connor'a wybuchnął śmiechem. Przy przeglądaniu petycyi zobaczono, że było wiele podpisów robionych jedną ręką, albo najwidoczniej sfałszowanych: były naprzykład podpisy w rodzaju: „Królowa Wiktorya“ itp. Wyzyskano to dla zohydzenia i ośmieszenia ruchu, ale los petycyi był bez tego już zgóry rozstrzygnięty: poszła do archiwum w ślady dwóch poprzednich.

Rozstrzygniętym był też już i los całego czartyzmu. Ruch tlił się jeszcze dość długo. Działaczy, zwących się czartystami, spotykamy w Anglii jeszcze w r. 1854. Ale czartyzm nie mógł się już podnieść z upadku, w który pogrążyła go zapowiadana z takim zapałem, a zakończona tak małodusznie demonstracya 10 kwietnia. Masy niewykształcone (porządne szkolnictwo zaprowadzono w Anglii dopiero w r. 1872); masy, porywane do ruchu zapałem chwilowym, nie przetrawiły i nie przejęły się naukami czartyzmu. A późniejszy rozwój Anglii poszedł nie w tym kierunku, jaki mu chcieli nakreślić czartyści.

*
* *

Czartyzm był nie jakimś chwilowym wybuchem rozpaczy, ale poważnym i wytrwałym, pierwszym samodzielnym politycznym ruchem proletaryatu. Proletaryat w ruchu tym używał już wszelkich rodzajów broni, jakie do dziś znamy, zaczynając od urny wyborczej a kończąc na strejku powszechnym, o którym dziś znowu tak dużo mówią socyaliści wszystkich krajów. Pomimo tego — upadł... Dlaczego?

Na to pytanie każdemu z nas nasunie się przedewszystkiem odpowiedź: „właśnie dlatego że był pierwszym w swoim rodzaju". „Pierwsze koty za płoty"... Ale nie dość tego, iż czartyści musieli łamać dla nas wszystkich pierwsze lody, nie dość tego, że nie mieli w dziejach żadnej skarbnicy doświadczenia, a przeciwnie sami pierwszym datkiem z krwi i cierpień skarbnicę tę zakładać musieli. Niedość tego, bo ponadto mieli oni do czynienia z wrogiem tak niebezpiecznym, jak może żadna inna partya proletaryacka, z burżuazyą, która sama świeżo w rewolucyi brała udział przewodni, i której już dlatego żadne papierowe gromy uchwał niewykonywanych zastraszyć, żadne demonstracye do ustępstw skłonić nie mogły. A tymczasem czartyści nie rozumieli, z jak nieprzebłaganym wrogiem mają do czynienia. Nie rozumieli, bo tak świeżo jeszcze wróg ten był przecie ich niby sojusznikiem. Mieli nadzieję kilkoma atakami złamać potęgę dwóch rządzących Anglią wówczas już od dwastu z górą lat partyi burżuazyjnych. I zawiedli się...

Z ich doświadczenia korzystał Marks, gdy ogłosił robotnikom kontynentu Europy hasła walki klasowej, nieprzejednanej, nie liczącej na ustępstwa i dobrą wolę uprzywilejowanych. Ale ofiary i walka czartystów przyniosły obfite owoce i dla samej Anglii. Partye burżuazyjne nie dały powszechnego głosowania — czartystom, bo wiedziały, że zdobyte przez proletaryat szturmem głosowanie to musiałoby odrazu być początkiem zupełnego panowania proletaryatu. Nie ustąpiły więc na razie, ale z czasem — pod naciskiem tłumów po większej części prowadzonych przez starych byłych czartystów — „Karta Ludowa" w najważniejszych swych punktach stała się w Anglii prawem. Reformy z 1867 i 1884/5 roku, dały temu krajowi prawie powszechne i równe głosowanie. W 1858 r. zniesiono warunki majątkowe dla posłów do parlamentu. W 1872 r. zaprowadzono tajność wyborów. I co może najważniejsza — czartyzm nauczył obie partye rządzące Anglią liczyć się z proletaryatem, jako z samodzielną siłą polityczną. Chociaż Anglia nie poszła w kierunku szybkich rewolucyjnych zmian ustroju państwowego i społecznego, jaki jej chcieli wykreślić czartyści, to jednak przeważnie, dzięki nim właśnie, Anglia posiada swe dzisiejsze demokratyczne instytucye, które jej zapewniają możność dalszego spokojnego — choć nieraz bardzo powolnego rozwoju.

Najpotężniejsza liczebnie z dzisiejszych partyi socyalistycznych, partya niemiecka, ustami swego głównego teoretyka, Kautsky'ego, na kongresie 1898 r. w Stuttgardzie wyrażała żal i ubolewanie, iż „nie może iść drogą lepszą, bo mniej ofiar wymagającą, drogą, którą idzie proletaryat angielski!" Drogę tę — dziś łatwą — torowali przed 60 laty bojownicy czartyzmu.

B. A. J.